TO NIE JEST ŚWIAT DLA DŻENTELMENÓW

MAREK JAGIELSKI

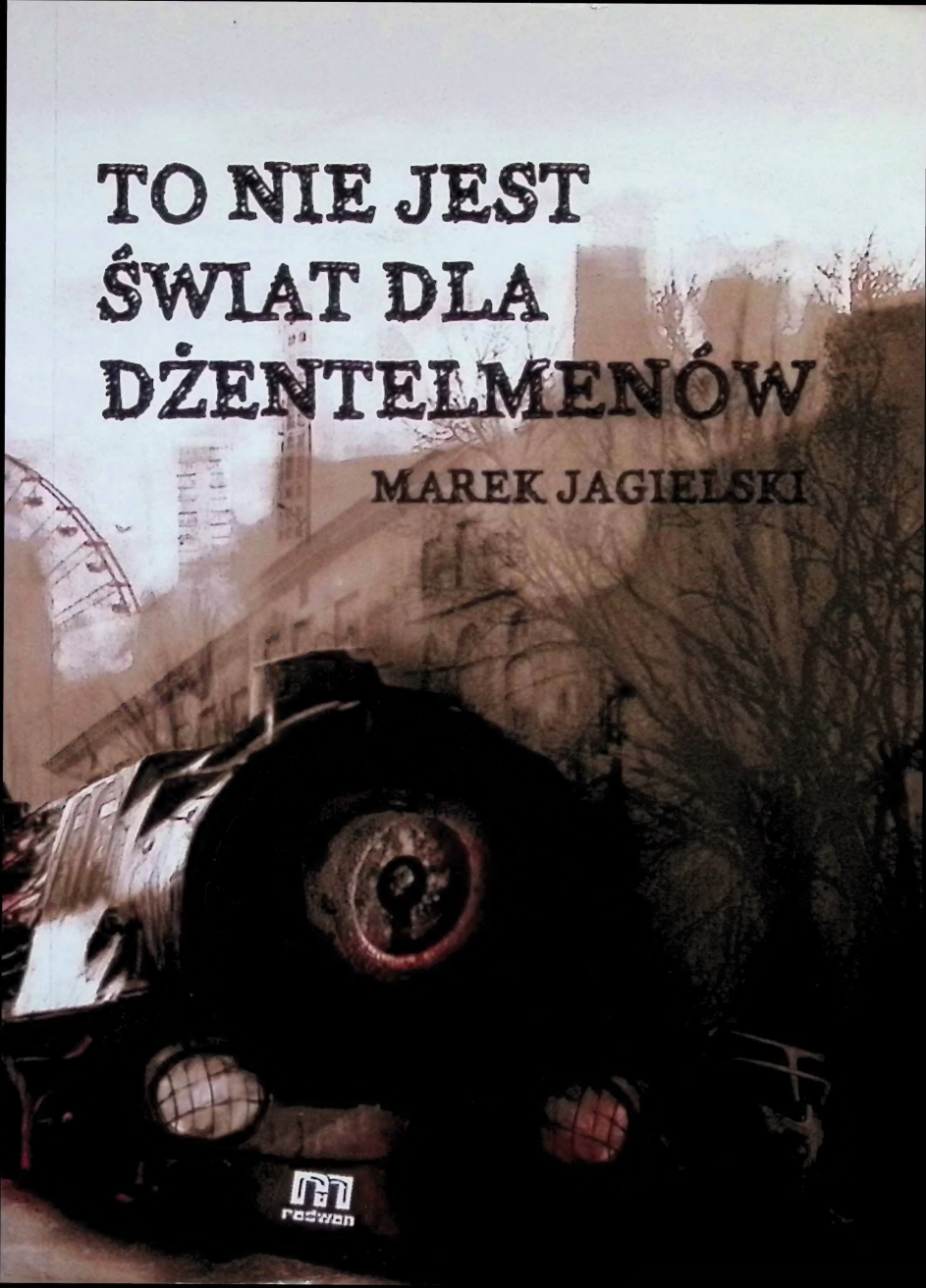

rebis

To nie jest świat dla dżentelmenów

Marek Jagielski

Wydawnictwo Radwan

To nie jest świat dla dżentelmenów

Marek Jagielski

Wydawnictwo Radwan

Wydawca: *Krystian Jakub Kryczyński*
Redakcja: *Agnieszka Chwiłka-Florek*
Korekta: *Emilia Grochala-Chmiel*
Projekt okładki: *Damian Popiół*
Ilustracja na okładce: *Aleksander Caban*
Ilustrował: *Waldemar Węgrzyn (jr.)*
Skład: *ErGraf*

Copyright © Marek Jagielski 2010. All rights reserved

ISBN 978-83-89938-40-4

RADWAN
Wydawnictwo Literackie i Naukowe

Tolkmicko 2010

Anton Pietrowicz oszalał, czyli
Как Антон Петрович сбросил себя с ума

I

W dniu, w którym Anton Pietrowicz zrozumiał, że życie nie jest sztuką powtarzania starych dowcipów w nowej sytuacji, jakby nieco oszalał. Niewątpliwie był to dla niego dzień bardzo szczęśliwy i gdyby nie kilka drobiazgów, taki by już pozostał. Anton chodził po ulicy, wciągając w nozdrza lepki zapach goździka, zbliżając co chwilę dłonie do twarzy wąchał kwiat, którego wcale nie trzymał w palcach, a który tylko chytrze schował się pod zasłoną powietrza, o czym, z żalem stwierdzam, nikt jeszcze nie wiedział.

Gdyby stanął nagle pod murem, na chwilę przed rozstrzelaniem nie wpadłby na to, żeby się wystraszyć, spoglądałby tylko co chwila z ukosa w niebo i na pewno nie zdobyłby się na czynność bardziej absurdalną, niż oddychanie. Opuszczone w przerwie obiadowej biuro nie było zwyczajnym terenem rozstrzelań ani nawet pojedynków, tak więc rzadko kiedy dało się widzieć na ścianie wygięty nienaturalnie bryłowaty cień o ostrym konturze, który ugrzązł w chwili pomiędzy pospieszną suchością wciąganego przez nos powietrza, pieszczotą zaciśniętych warg a upadkiem, na czym najczęściej i tak wszystko się kończy.

Anton Pietrowicz był rozsądnym człowiekiem, nie żądał więc od okoliczności zbyt wiele, starczyło mu tylko, że świat nagle spodobał mu się w obłędny wprost sposób, uwodząc go, tak jak każdy mężczyzna pragnie być uwiedziony. Anton wspinał się delikatnie na palce z pełną świadomością nieumiejętności lotu, po czym poważniał, jakby w zadumie nad własną ułomnością.

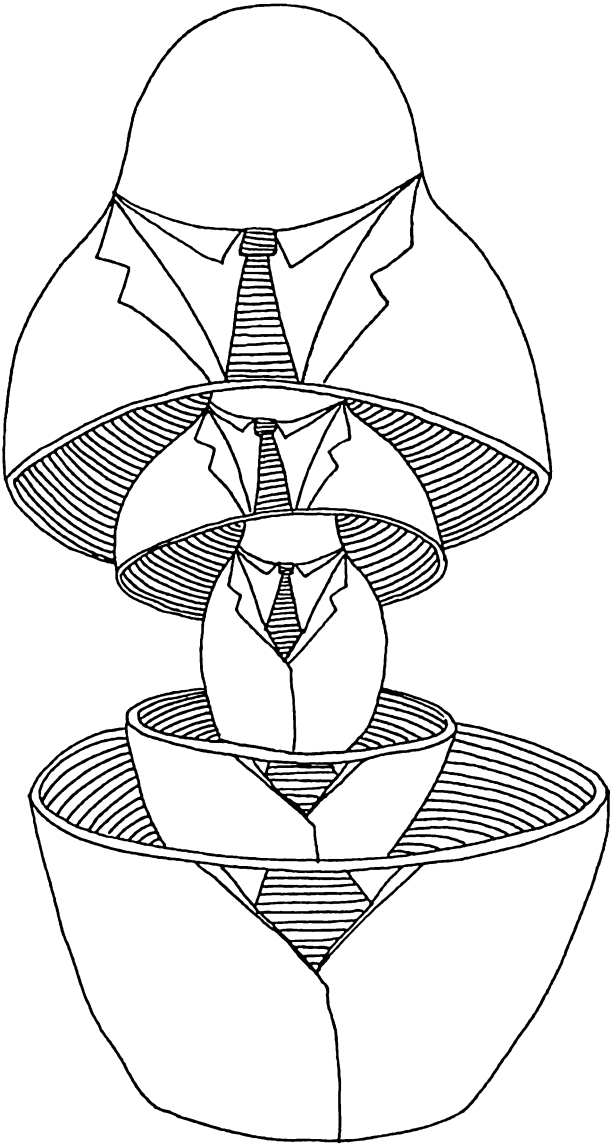

Na twarzy miał zarost, do którego przyczepiło się kilka źdźbeł trawy. W oczach niósł pełną radość i ze szczęśliwym uśmiechem rozglądał się wokół. Lekko drżały mu mięśnie policzków. Zatrzymał się na środku chodnika i podłubał palcem w uchu, dźwięk, który usłyszał, okazał się nadzwyczaj ciekawy. Spojrzał nagle w dół i zdawało się, że na tyle zadumał go ten prosty fakt, że skóra jego stóp styka się ze skarpetką, ona z butem, but natomiast drugą stroną styka się z trawnikiem, że niemal rozpłakał się na myśl o nierozrywalności tego łańcucha, który można jedynie skrócić albo na chwilę, wytrwałym łaskotaniem praw fizyki, zmusić do zabawy.

Usiadł na ławce, wyciągnął przed siebie nogi i obejrzał dokładnie skórzane buty, jakby widział je po raz pierwszy, po czym zdjął jeden z nich razem ze skarpetką i aby poczuć się choć trochę bliżej tego, czego i tak nie można być dalej, poszedł przed siebie.

Przechodnie spoglądali na niego z pobłażaniem i uśmiechali się, mało kto naprawdę się nim zainteresował. Dopiero kiedy Anton przechodził koło baru, w którym stołowali się jego koledzy z pracy, ktoś go zauważył. Jeden z siedzących w barze, pochylony wcześniej nad obiadem, podniósł głowę i pokazał palcem przechodzącego dostojnym krokiem Antona Pietrowicza, który akurat w tym momencie zamarł na chwilę, patrząc z ukosa w niebo.

Po chwili wszyscy siedzący przy posiłku mężczyźni (a byli to sami mężczyźni) umilkli i starali się odwrócić w stronę okna, nie wstając z krzeseł. Ci, którzy siedzieli tyłem do ulicy, musieli zarzucić ręce na oparcia krzeseł, potem wykręcić szyje, po czym spojrzeli przed siebie z wyrazem ogromnego zdziwienia. Anton Pietrowicz powoli opuszczał głowę, jakby ten ruch sprawiał mu ogromną trudność i spojrzał w okno baru. Z drugiej strony zobaczył siedzącą przy stoliku grupę ludzi zastygłych w baletowych pozach, przy czym jeden z nich z zupełnym spokojem wylewał sobie kawę na koszulę, przechylając filiżankę w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą były jego usta.

Anton stał na chodniku, teraz już zupełnie goły i jego twarz powoli zaczynała drgać: najpierw rozciągnął się odrobinę nos, potem zaczęły dygotać usta i podbródek, jakby opanowało go przerażenie, a potem wybuchnął śmiechem, śmiał się całym ciałem, brzuch podskakiwał mu w skurczach, pociągając za sobą głowę.

Obserwujący go z baru znajomi spojrzeli po sobie z dziwnym odczuciem niepokoju, po czym jeden z nich, wyglądający poważnie czterdziestolatek, wstał z krzesła i ruszył w kierunku drzwi. Ktoś złapał go za rękę i podał mu marynarkę, którą wcześniej miał przewieszoną przez krzesło. Anton Pietrowicz tymczasem śmiał się tak silnie, że ledwo utrzymywał się na nogach, skakał na chodniku zgięty w pół i obracał się wokół własnej osi, raz pokazując zapatrzonym znajomym tyłek, a raz skaczące rytmicznie przyrodzenie. Po chwili zupełnie zniknął z pola widzenia i dało się słyszeć tylko dziki ryk śmiechu. Człowiek z marynarką otworzył drzwi, wyszedł powoli na ulicę i z wyrazem niepokoju na twarzy zapytał:

– Antonie Pietrowiczu, to pan?

Anton Pietrowicz tymczasem przestał się śmiać i oddychał głęboko, leżąc na ulicy. Po chwili spojrzał wesoło na pytającego i powiedział: – Ja.

– Aha. A można wiedzieć co pan robi?

– Można.

– Więc co pan robi?

– Spieszę się.

– Ale gdzie się pan, do cholery, spieszy? I dlaczego leży pan na ziemi?

– A to, jeśli można, zachowam dla siebie.

Szpakowaty mężczyzna podał rękę Antonowi Pietrowiczowi, który gramolił się niezgrabnie i owinął go marynarką.

– Dlaczego biega pan goło po ulicy?

W tym momencie Anton Pietrowicz spojrzał w zaniepokojone ciemne oczy, spoważniał na chwilę, przemyślał możliwą odpo-

wiedź i stwierdził, że ten człowiek nic zupełnie nie rozumie, a dystans, który ich dzieli, jest niemożliwy do przebycia, co więcej, myśląc o tym, jak absurdalnie byłoby tłumaczyć rzecz tak oczywistą językiem, który zupełnie się do tego nie nadaje, pokazał mu własny, czerwony, mięsisty i bardzo żywy język i wybuchnął śmiechem po raz drugi, lekko opluwając przy tym zdziwionego mężczyznę.

Po chwili pojawił się drugi znajomy, równie zaniepokojony co pozostali, za to nieco odważniejszy. Stojąca w drzwiach baru grupka spoglądała na rozgrywającą się scenę z widocznym niepokojem, wymieniając szeptem uwagi.

– I co się gapicie, do cholery? — spytał szpakowaty mężczyzna. – Tu nie ma na co patrzeć! Wezwać karetkę? – zapytał, unosząc telefon komórkowy, był ewidentnie wystraszony i trzymał się na bezpieczną odległość.

– Anton, jak się czujesz?

Anton wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

– Aha, to chyba wezwę.

Pietrowicz powoli podniósł się, nie mogąc przestać się śmiać i zgięty w pół ruszył najpierw lekkim truchcikiem, a potem coraz szybciej biegnąc przed siebie.

Obaj mężczyźni odprowadzili go wzrokiem pełnym zdziwienia, po czym jeden zwrócił się do drugiego.

– Masz telefon do jego żony?

– Wiesz, że my już nie tego, to znaczy, że to już koniec, że Ilona, że wiesz, no...

– Pytam o papiery. Masz szczęście, że jesteś moim szefem.

– A tak, powinien być na formularzu.

Trudno wyobrazić sobie smutny wzrok żony Antona Pietrowicza, która od rana krzątała się po domu pełna najwyższego napięcia, a odbierając telefon, zastygła w pół ruchu nad gotowanym obiadem (ulubione przez Antona kopytka), kiedy uprzejmie doniesiono jej, że jej mąż zgłupiał do reszty.

II

Problemy Antona Pietrowicza z tak zwanym zdrowiem psychicznym zaczęły się dużo wcześniej, niż można było widzieć ich efekty. Trudno powiedzieć czy z nudów, czy też raczej z nadmiaru fantazji Anton wymyślał te historie, zaludniał swoje dzieciństwo dziwacznymi postaciami, w każdym razie było faktem, że miał bzika na punkcie swojego pochodzenia.

Rzeczywiście był cudzoziemcem, tym łatwiej było mu przekonać innych o tym, że naprawdę pochodzi z jakiejś baśniowej krainy. Anton był samotny i bardzo nie chciał być samotny pojedynczo (marzenie wszystkim sentymentalnych naiwniaków – dzielić się samotnością jak więziennym chlebem), więc opowiadał innym historie, które płodziła jego biedna głowa. Zapisywał je w wielkiej księdze, która sprawiała wrażenie stuletniego woluminu, jakby próbując udowodnić, że to wszystko działo się kiedyś naprawdę. Z czasem sam zapomniał, że to, co czyta w wielkiej księdze, jest tylko jego fantazją; odnosił nawet sukcesy, miał prestiżową pracę, a właśnie – nawet w pracy, po 12 latach w jednym biurze nie wiedzieli o nim nic na pewno, był dla współpracowników dziwakiem, bohaterem, właścicielem bujnej wyobraźni. Znalezienie zatrudnienia nie było dla Antona problemem, podobnie jak znalezienie kobiety, niektóre rzeczy po prostu się w jego życiu działy.

Ilona była śliczną, młodą, bardzo zdolną kobietką o mocnym charakterze i zdefiniowanych wymaganiach. Codziennie jeździli razem w windzie, w budynku gdzie pracowali, ona szła do banku, on do biura. Codziennie miała na sobie spódnicę do kolan, co wydawało jej się połączeniem seksu i elegancji, w czym, jak zawsze, miała rację. Anton, przystojny, ciemnowłosy mężczyzna, który zawsze przepuszczał ją w drzwiach do windy, a potem stawał tuż obok, był dla niej na tyle interesujący, że ubierała się mniej więcej pod kolor jego garniturów, bo można było wyłowić

częstotliwość, z jaką zmieniał kolory, na wypadek gdyby zaprosił ją niespodziewanie na randkę. Mówił z lekkim cudzoziemskim akcentem, co czyniło go jeszcze bardziej intrygującym.

Pewnego dnia wbiegła do windy w ostatnim momencie, Anton stał już pod tylną ścianą windy, ze skórzaną teczką w ręce, w dobrze skrojonym czarnym grafitowym garniturze, uśmiechnął się na jej widok. W pewnym momencie zsunęło się jej ramiączko stanika, zmarszczyła się lekko i zaczęła je dyskretnie poprawiać. Bojąc się, że w windzie nie da się tego zrobić tak, aby Anton nie zauważył, spojrzała w lustro, które wisiało na lewej ścianie, i zobaczyła jak on stoi lekko przechylony do przodu, z zamkniętymi oczami i pełną skupienia twarzą. Myślała przez chwilę, że zasnął, ale po chwili uśmiechnął się błogo – wtedy zrozumiała, że wciągał przez nos zapach jej perfum. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, po chwili wyprostował się i otworzył oczy, zobaczył w lustrze odbicie jej oczu i ich wzrok spotkał się. Anton spojrzał na nią badawczo i z surowego wyrazu twarzy odgadł, że wiedziała doskonale, co robił. Uśmiechnął się pełen zażenowania, jak chłopiec, który coś przeskrobał, i chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili spuścił wzrok. Ona patrzyła na niego cały czas, ale wyraz surowości na jej twarzy po chwili ustąpił wyrazowi rozbawienia. Ilona wybuchnęła głośnym śmiechem nad zmieszaniem Antona, a kiedy tylko winda pisnęła i otworzyły się drzwi, nadal śmiejąc się, wyszła z windy, już zupełnie otwarcie poprawiając ramiączko stanika.

Tego dnia Anton Pietrowicz nie mógł skupić się w pracy. Cały czas coś mu przeszkadzało, czuł się obserwowany, poszedł do szefa powiedzieć, że jest za gorąco i że klimatyzacja prawie nie działa, a po pół godzinie przyszedł powiedzieć, że działa za głośno. Był rozdrażniony i nie miał nawet ochoty na lunch. Coś było nie tak. W układzie rzeczy zaszła delikatna zmiana, której nie umiał uchwycić, ale która z pewnością nie mogła pozostać niezauważona. Przestawiał wokół siebie przedmioty, próbując przywrócić

im dawny porządek, ale nic z tego nie przynosiło rezultatów. Anton Pietrowicz szukał przyczyny swojego rozdrażnienia i ekscytacji. Pamiętał jeszcze to dziwne łaskotanie w podbrzuszu, pasję we własnych oczach, kiedy dotykał którejś z krawędzi świata, tych geograficznych, kiedy wystarczyło się poślizgnąć i po człowieku zostanie tylko cienki krzyk, i czuł, że znów spotkało go coś równie niezwykłego. Po raz pierwszy od podjęcia pracy pomylił się w rachunkach na niekorzyść firmy, więc uznał za fakt, że być może się zakochał.

Nie był nieśmiały. Nie wstydził się kobiet, nawet tak młodych i atrakcyjnych jak dwudziestoletnia Ilona. Nie miał kompleksów na swoim punkcie. Po prostu nie spodziewał się, że życie wywinie mu jeszcze taki numer, więc zgłupiał zupełnie i nie wiedział, co ma zrobić.

Następnego dnia nie poszedł do pracy (co wyraźnie zaniepokoiło Ilonę). Poszedł do banku. Zapytał, ile dokładnie może pożyczyć, to znaczy skonsumować, poza tym, co już ma. Następnie wypełnił wszystkie formalności związane z otrzymaniem kredytu gotówkowego i wrócił do domu, gdzie absolutnie nie wiedział, czym się zająć, dawno już nie miał tyle czasu dla siebie. Pomyślcie sami: taki zwyczajny tydzień ma 168 godzin, z czego ok. 56 godzin zabiera sen, co najmniej 55 praca, razem z dojazdami i porannym przygotowaniem, pozostałe 57 godzin, czyli jedną trzecią życia można wykorzystać dowolnie, pod warunkiem że praca nie jest bardzo wyczerpująca.

Teraz czuł w sobie siłę, żeby zmienić swoje życie, wyskoczyć z kołowrotka, na którym się obracał. Myślał jak zacząć dialog z Iloną. Miał kilka dobrze sprawdzonych metod, ale wszystkie wydały mu się zbyt zwyczajne jak na taką okazję. Popełnił podstawowy błąd każdego romantyka, który jest przekonany, że na tę jedną wyjątkową kobietę dobrze zadziała cokolwiek innego niż dobrze ugładzona przeciętność, z widocznymi pozorami nadzwyczajności, która działała na wszystkie poprzednie. Wbrew kon-

wencji, wbrew rozumowi i wbrew oczekiwaniom Ilony nie zaczął przyjemnej rozmowy, nie znalazł jej w czasie przerwy, w barze na dole budynku, nie zaczekał na nią po pracy ani nie dokonał cudów zręczności, aby zdobyć jej numer. Wsiadając do windy, spojrzał na nią jak zawsze, a następnie dyskretnie wsunął jej do torby list, ona natomiast udawała, że tego nie widzi.

Otworzyła go natychmiast, kiedy siadła za biurkiem. W środku był wypis kapryśnych życzeń i totalnych absurdów i głupot, jakie Anton Pietrowicz chce jeszcze zrobić w życiu i które spisał ze sporą liczbą błędów ortograficznych, oraz wykaz miejsc, w których nie był, a które chce odwiedzić, dopóki jeszcze nie zwapniał. Na końcu było życzenie, aby mogli zrobić to wspólnie. Ilona nie była zachwycona. Nie była nawet zadowolona ani przyjemnie zaskoczona, w dodatku nie do końca wiedziała jak odpowiedzieć na ten list. Trudno. Dlaczego wszyscy atrakcyjni mężczyźni to geje albo wariaci? – pytała sama siebie, kręcąc głową. Trudno. Nie można pozwolić dać się porwać rycerzowi na białym koniu, jeśli ten rycerz zdradza jawne objawy szaleństwa.

Anton Pietrowicz od czasu, kiedy wręczył list poczuł ulgę i postanowił dać się ponieść strumieniowi wydarzeń. Czekał cierpliwie na znak, który pozwoliłby mu podjąć ofensywę. Znak jednak nie nadchodził. W końcu sam zdecydował, że czas się nieco cofnąć i uderzyć mniej śmiele. Po dwóch dniach czekania postanowił zaatakować w windzie, która – choć nie miał pojęcia jak działa – nosiła go codziennie w górę i w dół piętnastego piętra, więc była widomym znakiem istnienia ponadludzkich sił. Jak widać przynosiła mu szczęście.

– Przepraszam panią...

Ilona odwróciła się z uśmiechem w jego stronę.

– Może miałaby pani czas dziś wieczorem? Przepraszam, że robię to tak bezceremonialnie, ale przecież niemal się znamy. Więc chętnie zaprosiłbym panią na... – Anton poczuł, że mówi już zbyt długo i jakoś niezręcznie, mimo wszystko miał nadzieję na pozytywną reakcję. Ten język nigdy mu nie służył.

„Tak, może spotkamy się po pracy?" – spodziewał się usłyszeć.

– Nie – odpowiedziała z tym samym promiennym uśmiechem i wyszła z windy, nawet nie obejrzała się na zbaraniałego Antona Pietrowicza. „O – pomyślał Anton Pietrowicz – a to ci dopiero". W czasie przerwy wyskoczył do kwiaciarni po duży bukiet róż. Wyszedł z pracy pół godziny wcześniej i spacerował koło wejścia do budynku, którym Ilona zwykła wychodzić. Wiedział, że pracownicy z jego działu robią wszystko, żeby dojrzeć go z okna. Spacerował wzdłuż budynku i słońce grzało go w kark, kiedy szedł w lewo, albo paliło w oczy, kiedy szedł w prawo. Upał wydawał się nieznośny, ale Anton i tak był zadowolony, podekscytowany, a czasem nawet kołatało mu się po głowie słowo: „szczęśliwy". W końcu doczekał się – Ilona wyszła z biurowca i szła przed siebie szybkim krokiem.

– Proszę pani...

Ilona zerknęła na niego, ale nie zwolniła kroku, musiał do niej podbiec.

– Proszę pani... ja panią nie spytałem w ogóle... czy...

– Tak?

– Czy może jutro...

– Co jutro?

– Czy, jeśli nie dzisiaj, to może jutro. Jutro się pani ze mną umówi?

– A dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego mam się z panem jutro umówić?

– Może... – Anton zrozumiał w końcu jak śmiesznie musi wyglądać, niemal biegnąc za rozpędzoną dziewczyną z bukietem w ręku. Przyspieszył kroku, stanął przed nią, chwycił za ramiona i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

– Bo wiem, że ma pani na to ochotę. A może przez następne pół roku chce mi się pani nadal przyglądać w windzie?

– To ja się panu przyglądam w windzie?

– Tak, pani mnie. Sądzi pani, że nie zauważyłem?

– Proszę mnie puścić.

– Nie.

– Będę krzyczeć.

– Bardzo proszę. Ludzie, którzy krzyczą na ulicy, zawsze wydają się śmieszni.

– To zależy od tego, co krzyczą.

– To znaczy?

– Zboczeniec czy wariat? – Ilona otworzyła usta i wzięła głęboki wdech. Anton w tym momencie wcisnął jej w ręce bukiet, odwrócił się na pięcie i odszedł. Ilona odprowadzała go wzrokiem z tym samym promiennym uśmiechem, ale to nie był już uśmiech zainteresowania, to był uśmiech triumfu.

III

– Dzień dobry, Anton Pietrowicz, dzwonię z firmy... – Anton podniósł do oczu kartkę, na której miał zapisane imię, nazwisko i telefon specjalisty rozwiązań informatycznych, który miał mu pomóc z kilkoma drobnymi problemami, polecił mu go znajomy – czy może mnie pan połączyć z panem Havrankiem?

– Havranek? A kto to?

– Eee... to wasz pracownik, pracuje w dziale IT.

– Aaa, Havranek, no tak, pracował, pracował, aż umarł. Teraz na jego miejscu jest pan Dobrowolski, łączyć pana?

– A wie pan? To lepiej nie – Anton Pietrowicz przełknął głośno ślinę i odłożył słuchawkę. W tym momencie usłyszał pukanie do drzwi gabinetu.

– Proszę wejść – powiedział.

To nie jest wina Antona, że prześladował go absurd. O nie, to zupełnie przypadkowy zbieg okoliczności, drwina losu. Czytelnikowi należy się słowo wyjaśnienia: Anton Pietrowicz na swoje nieszczę-

ście wygrał walkę z losem. Nie został rolnikiem, pijakiem ani wiejskim nauczycielem, nie dał się porwać, zabić, zastraszyć, wyznaczał sobie cele i je osiągał, a jednak ani przez chwilę nie był z siebie zadowolony. Tworzył swoje życie, a jednak czuł się od niego oddzielony niewidzialną szklaną szybą, która mówiła mu, że omija go to, do czego się narodził. Nie wiedział, co to jest i dlatego nie mógłby stworzyć dla siebie dramatu, którego przebieg by go wzruszył; sam sobie zdawał się śmieszny, a przecież przeszłość miał niemal bajkową. Wyprzedawał więc nadmiar swojej wyobraźni i dodawał tabelki liczb, przewidywał, co się stanie „jeśli" i jakie podjąć działania, żeby coś się stało albo nie stało w zupełnie zbędnym świecie wirtualnego bogactwa. Swojej pracy okazywał zupełną pogardę, ale przecież trzeba z czegoś żyć, prawda?

– Teraz, Anton, reprezentujesz firmę, czyli jedną z największych spółek w tej branży. Nie możesz przecież jeździć tym starym gratem, kup sobie solidne auto, powinieneś budzić zaufanie – mówił jego szef, wyciągając nogi obute w kosztowne i modne buty pod kosztowne i drogie biurko niedawno awansowanego dyrektora finansowego, który prywatnie nazywał się Anton Pietrowicz.

– Wiesz, jak cię widzą, tak cię piszą. Jesteś bardzo skuteczny, lubię to, tu nie ma miejsca na sentymenty. Ta twoja ostatnia sprawa, którą się zajmowałeś, dobrze ci poszła, pomogłeś nam w negocjacjach – mówił. Anton musiał patrzeć w oczy błyszczące w nalanej twarzy, palcem w bucie odmierzał sekundy i czekał.

– Dzięki, szefie. Miło to słyszeć.

– No pewnie, że miło. Dzięki takim jak ty, jesteśmy cały czas liderem! Wiesz, ja się zawsze boję przed negocjacjami z taką dużą firmą, ale potem sobie uświadamiam, że właściwie to my jesteśmy jeszcze większą firmą i już mi lepiej. A właśnie słyszałem, że chcesz wziąć urlop. Jedziesz gdzieś?

– Tak, na razie jeszcze nie zdecydowałem, ale chciałem wziąć dłuższy urlop – Anton Pietrowicz odruchowo założył nogę na nogę.

– No dobrze, ważne żebyś był wypoczęty.

– Tak, chciałem... – „mieć coś z życia, zamiast siedzieć tu cały czas, nie wiem, kiedy ani czy w ogóle wrócę, dostałem już od was tyle pieniędzy, że przestaliście być mi potrzebni, a poza tym się zakochałem" – chciał powiedzieć, ale po chwili uświadomił sobie, że mu nie wypada – chciałem gdzieś sobie pojechać.

– Super, super, a gdzie konkretnie?

– No, nie wiem, może Egipt?

– Co ty, w Egipcie jeszcze nie byłeś?

– No, byłem, jasne że byłem.

– Właściwie, to strasznie dużo tam tych brudasów, wiesz. Ostatnio mojej córce strzeliło do głowy, żeby objechać Egipt autobusem, wyobraź sobie, że są takie oferty. Brud i karabiny śniły jej się jeszcze dwa miesiące. Może Hiszpania?

– Zjeździłem ją już dość dobrze, ale może znowu. Tak to niezły pomysł.

– Przemyśl to jeszcze, daj mi znać, jak się na coś zdecydujesz, ciekawy jestem. A, byłbym zapomniał, mam coś dla ciebie. Nowy telefon, będziesz mógł odbierać maile, no i wygląda dużo lepiej.

– Wiesz, ale ja jestem całkiem zadowolony z tego, który mam.

– Jasne, ale z nowego przecież możesz być bardziej zadowolony – rozpoczęło się kuszenie.

– Myślę, że te funkcje, które ma stary, w zupełności mi wystarczają. I tak mi przed nim czasem głupio.

– Przed telefonem? Anton, co ty mówisz! Nie wygłupiaj się. Przyda ci się, a w razie czego możesz go przecież oddać.

– No tak, niby tak, ma pan rację.

– Miałem nadzieję, że już się do tego przyzwyczaiłeś – szef puścił do niego oko.

– Jasne, szefie.

– To na razie.

– Na razie.

Szef podniósł się energicznie, wychodząc poprawił spodnie, a przechodząc koło biurka sekretarki Antona, posłał jej pięk-

ny uśmiech. Anton Pietrowicz odchylił się w fotelu, założył ręce za głowę i zamknął oczy. Potem odwrócił się na chwilę w stronę okna i patrzył. Było jasno. Niebo było jasnoniebieskie i wisiało tak nisko, że zdawało się, mógłby w nim zamoczyć pióro. Po chwili zaczął liczyć, notować w zeszycie. Nowe auto, to już na pewno. Może przydałoby się większe mieszkanie, to już kredyt. Ilona, Ilona, jeszcze dziś będzie mógł ją zobaczyć, spojrzeć jej w oczy. Zobaczyć jak się porusza, ile ma w sobie wdzięku, jak powoli podnosi do ust czerwonego od szminki papierosa. Telefon na biurku odezwał się, przed chwilą włożył kartę do tego cacka, które miało go reprezentować. Pomyślał, że musi zmienić dzwonek, bo teraz już spodziewał się maili o każdej porze dnia i nocy, oczywiście tylko w razie konieczności. W głowie nucił swoją melodię, w którą układały się po kolei jego dni. Coś jakby z Prokofiewa. Tam, dam, dadam, tam dadadam, tadam.

– Dziś umarł Sergiusz Sergiejewicz Prokofiew, uczcijmy go minutą ciszy – mówi dyrektor orkiestry, a po minucie, zwracając się do woźnego – ponoć umarł też Stalin.

Rzeczywiście, umarli jednego dnia. Wtedy stoczyły nagłą walkę rzeczy wielkie i rzeczy piękne, pomyślał Anton. Kto z nich wie, kim był Prokofiew? A Stalin... Anton zaśmiał się pod nosem. Choć to muzyka najbliższa jest wieczności, pojedynek niemożliwy demokracja rozstrzyga na korzyść polityki.

To prawda, Prokofiew odszedł tego samego dnia, którego umarł Stalin, nikt nawet nie wystawił mu nekrologu w gazecie. Nawet pogrzeb był niemożliwy ze względu na zamieszanie, które po raz ostatni wywołał pewien niewysoki Gruzin, który poświęcił życie na forsowanie wyświechtanych i naiwnych sloganów, w które zapewne nie wierzył, oraz zdobycie popularności najbardziej brutalnymi środkami, jakie może wyobrazić sobie człowiek. Wszyscy mówili i pisali tylko o Stalinie, o potworze, o gigancie. Nikt niemal nie przejmował się kompozytorem, który tylko nie będzie dalej żyć. Umarł Prokofiew, a jego ciało jeszcze kilka dni

czekało na pogrzeb, zapewne umyte i natarte octem, ze zwojami nut i butelką wódki w kieszeni marynarki. A zgromadzeni wokół niego płakali, modlili się i zgodnie z upływem czasu popadali w nieznośną nudę oczekiwania na coś, co i tak musi się stać. Bo jeśli człowiek może odczuć prawdziwą nudę, to zaczyna się ona od poczucia zupełnej bezradności wobec własnego losu, które przeradza się w obojętność.

I Anton siedział przy swoim biurku i nucił swoje tam, tam, tadam, uniwersalny motyw, którym zawsze mógł odmierzać minuty. Był zakochany. Gdyby wiedział jak szybko przyjdzie nuda i bezsenność, ciągła walka, żeby znów nie dać się rozczarować, wyjechałby pewnie, wróciłby do Macocha. Ale do niego nuda przyszła podstępnie i nawet nie zauważył jak przychodzi, jak jego kroki zamienia w marsz razem z kimś w szeregu, z którego nie można się wyzwolić, że nuda zaczyna go łaskotać aż śmiech staje się mechaniczny i bolesny (gdyby choć na chwilę można było umrzeć tylko po to, żeby odpocząć!).

IV

Działo się to w roku 19... W e-mskiej guberni niemal wszyscy już zapomnieli o lekkomyślnym Zosimie. Pewnego dnia w listopadzie, w przedziale kolei transsyberyjskiej zasiadły naprzeciw siebie dwie osoby. Ubrany zbyt lekko jak na warunki rosyjskiej zimy brodacz, o twarzy zdradzającej dobroć, lecz również pewną zatwardziałość i siłę charakteru, na pierwszy rzut oka około pięćdziesięcioletni, i młody człowiek w ciepłym kubraczku, niewysoki i krępy, trzymający na kolanach dzisiejszą „Prawdę". Za każdym razem kiedy młodzieniec, szeleszcząc, rozwijał gazetę, między jego lekko skośnymi oczami pojawiała się zmarszczka świadcząca o skupieniu, po czym regularnie, mniej więcej dwa razy na każdej stronie cmokał, pewnie z niezadowolenia, i kręcił lekko głową.

Być może już wcześniej mogłaby się między pasażerami rozwinąć ciekawa dyskusja, ale zdawało się, że cudzoziemiec zbyt jest pochłonięty widokiem ojczyzny, by mógł podejmować rozmowę z nieznajomym. Niemal dojeżdżali już na miejsce, gdy młodszy z pasażerów odezwał się tonem, który zdradzał ewidentne zadowolenie ze stanu rzeczy:

– Zimno, co?

– Zimno, owszem.

– Wy pewnie z daleka? Z zagranicy?

– Tak, prawda, jadę z daleka.

– Bo, widzicie, u nas tu zimy srogie, wszystko się w kraju rozwija, a to jedno się nie zmienia, jak było tak będzie. Wy do N?

Obcokrajowiec zmierzył ciekawskiego wzrokiem i nie odpowiedział na pytanie.

– Wiecie, ja tylko tak, pogadać, nie żeby coś od razu... tak tylko dla ciekawości.

– Ciekawość... jak przez ciekawość to ja nie odpowiem choćby i dla waszego dobra. Do domu jadę – powiedział z dziwnym cudzoziemskim akcentem, który to pojawiał się, to znikał.

Młodzieniec, jak widać, znudzony nieco lekturą rozgadał się na dobre: – Spadek może? Słyszałem, że umarł stary Siemliakow, sekretarz, wnuczka jego już dawno nie żyje, przeziębiła się biedaczka. Ze dwa lata już będą jak męża zimą poszła szukać, sierota biedna, a ten w zaspie spał pijany jak bela – młodzik opowiadał, patrząc badawczo w oczy nieznajomego, wie on, o kogo chodzi albo i nie wie? – i ona wyciągnęła go z tej zaspy, do domu zaniosła, ale zaraz dzień później gorączka, zapalenie płuc, doktorzy nic nie pomogli, dwa tygodnie poleżała i nogi wyciągnęła – nieznajomy skłonił głowę ze smutkiem i przeżegnał się pobożnie – a durak i pijanica, Piter, dwa miesiące później zapił się ze zgryzoty i ze samotności.

– Pokój jej duszy.

– No pokój niech wam będzie. Wy pop?

– Nie, dlaczego?

– Bo i popa u nas ładnych parę lat już nie ma, zabrali go kiedyś, odwieźli, a teraz nie ma... więc nie za spadkiem? Niewiele Siemliakow zostawił.

– Nie, nie za spadkiem. I pop też nie.

– I z daleka?

– Z daleka.

I teraz młody urzędnik zaczął się naprawdę bać. – Tak, ekhem, no – spojrzał z ukosa – tylko synka małego zostawili ze starym Siemliakowem, chociaż tamten już zdurniał ze starości, a teraz i małemu nie ma gdzie się podziać, ot dodatek do spadku... A wysiadacie gdzie... może z bagażami pomogę? – spytał jakby nigdy nic młodzieniec.

– Wysiadam w N., prawda, potem jadę dalej, do S... Bóg wam zapłać za pomoc, ja bagaży nie mam.

– Jak to tak? I do S... i ja z S. jestem – powiedział zanim ugryzł się w język – i jak to tak, z daleka bez bagażу?

– Tak to właśnie... do domu wracam, chcę zobaczyć stare kąty, może i na dłużej zostanę...

– Aaaa... wiecie, że w S. kołchozu nie ma, ale całe S. pracuje, jakby i kołchoz był...

– Kołchoz mnie, wybaczcie, nie interesuje.

– A co was, towarzyszu, interesuje?

– Ludzie – powiedział z uśmiechem brodacz i przełożył z ręki do ręki laskę.

Wania (bo tak nazywał się młody urzędnik) przełknął ślinę. – Ludzie?

– Tak, ludzie i coś jeszcze, ale o tym... o tym nie będziemy mówić – powiedział brodacz, a między jego oczami pojawiła się zmarszczka sugerująca niezłomny upór i pewność.

Wania pocił się i męczył, w pewnym momencie przeprosił starca i udał się w kierunku toalety. Przeszedł cały wagon, a potem następny, a potem cały pociąg, aż spotkał starego Dymitra,

który też jechał do S. Szybko i chaotycznie przedstawił całą rozmowę i skończył: – ...więc ja go, Dima, z oczu nie spuszczę, ty się nie bój, ja się zajmę, ja się zatroszczę, a ty pierwszy leć do wioski, wszystkim powiedz, niech się przygotują, ikony powyrzucać... – stary Dymitr przeżegnał się bojaźliwie – albo pochować, ty słyszał, Dima, że on o spokój duszy i w ogóle, co to jest jak nie prowokancja i w ogóle oszustwo?

– Ja, Waniuszka, nie wiem, ale ikony chować, to mi się nie podoba.

– Schowaj, schowaj, Bóg ma całą wieczność, to poczeka, a wybaczyć i to wybaczy, taka jego robota, a poza tym to przecież ze strachu, a strach nie grzech. Schowaj, Dima, sam i innym powiedz.

– Dobrze, Wania, powiem, schowam. I jeszcze co, ja już jakoś zapomniałem połowę tego, co mówiłeś, żeby to ja drogą nie zapomniał wszystkiego...

– Dima, raz ja cię proszę – to ważne, nie zapomnij... niech się wszyscy przygotują jak mogą, ja go trochę powożę w tę i we w tę wokół po wsi, jeszcze się i mój łazik zepsuje i w ogóle, ale wy to się przygotujcie. I jeszcze... tutaj masz list, pisałem przed chwilą. Oddasz do rąk Marze i zapomnisz, rozumiesz?

– Jak to, żebym zapomniał? Takie rzeczy to tak, pamiętam, ale cuda jakieś, co opowiadasz, żebym komuś opowiadał, to nie...

– Zapomnij, mówię, ci Dima, zapomnij na pewno. Jeszcze myśleć nie odwykłeś, to pomyśl, co się stanie z twoją, jak jej męża wywiozą, co? A wnuka kto będzie kołysał, jak twojej córki nie będzie?

– I mówił, że ludzie go interesują?

– Tak mówił.

Po plecach starego Dymitra przeszedł dreszcz, aż się cały otrzepał. Po chwili przeżegnał się pobożnie i powiedział: – Dobry z ciebie chłopak, Wania. Ja już sam nie wiem, co się dzieje i wierz mi, że jak do wioski wrócę wszystko mi się jeszcze lepiej pomiesza w głowie. List oddam.

– No, starczy już starczy. Mnie trzeba wracać – i szybko przepchnął się przez kilka wagonów do przedziału, w którym siedział brodaty przybysz. Uśmiechnął się na przywitanie i zaczął długą tyradę o zaletach społeczności wioski S., przybysz słuchał, kiwał głową, ale myślami zdawał się być gdzieś indziej. „Teraz wie już trzech z nas. Im więcej osób wie i milczy, tym lepiej, niech wiedzą." Po dwóch godzinach dojechali.

Jak powiedział, tak i zrobił. Wania obiecał przybyszowi, że go swoim starym łazikiem zawiezie do N., wziął jego lekką walizeczkę i pojechali najbardziej okrężną drogą, jaką Wania zdołał wymyślić. W drodze myślał: „A nie lada szycha, z taką walizeczką, patrzcie go, jak u nas w podróż jadą to tobołów tyle, że ledwo to człowiek wszystko uniesie, a w pociągu, to nie gadaj, ile tego się tam znajdzie... a ten proszę z walizeczką. A kto zapłaci za niego? A skąd ubrania weźmie? A masz ci los, szycha musi być nie lada i to jeszcze incognito, patrzcie go". Po drodze zmieniał koło i przez dwie godziny usiłował kupić benzynę. Za każdym razem kiedy przybysz zbierał się, żeby wstać i iść piechotą, pokornie dziękując za pomoc, Wania wychodził ze skóry, żeby go zatrzymać, słodził, ostrzegał, opowiadał, skakał wokół brodacza, aż tamten się zgadzał. W końcu dojechali do N.

Latarnie były przystrojone wstążkami, ulice pozamiatane i puste, w wiosce panowała cisza i spokój roboczego dnia. Wania patrzył wystraszony, czy pod płotem nie wala się jak zawsze pijany Stiopa, ale nie zobaczył nikogo. Pewnie wrzucili go do stodoły i zamknęli drzwi, raz się wyśpi na sianie.

Zatrzymali się przed domem partii. Iwan wysiadł i pobiegł na drugą stronę samochodu otworzyć drzwi starcowi. Ten grzecznie podziękował i, wysiadając, oparł się o młodego urzędnika. Teraz dopiero Iwan zauważył, że jego gość utyka.

Weszli powoli do dużego budynku, w którym odbywały się zebrania jak również spora część życia towarzyskiego, jako że był to jeden z największych budynków we wsi.

– Siadajcie – powiedział Wania. – I jak wam się tu u nas podoba?

– Podoba, nie powiem, podoba...

– No tak, a może zjecie coś? Zaraz przyniosę... Masza! – krzyknął Wania, obracając się w krześle – przynieś zaraz kaszy, kapusty, wywaru, nie zapomnij o mięsie, czeburjeki usmaż i herbaty zrób!

– Ale nie trzeba, nie trzeba, doprawdy!

– Ale to nic, drobiazg...

Anton Pietrowicz zamknął księgę (którą zapisywał w wolnych chwilach) i pomyślał, że minęło trochę czasu od momentu, kiedy przestał wierzyć swoim wspomnieniom. Z Iloną byli już razem dwa lata, dwa piękne lata... Tak! Taka miłość, taka miłość... jak widać zdarza się innym... ale przecież bywają szczęśliwi, to znaczy on bywa niemal szczęśliwy, a jej na tym nie zależy, ona ma prostsze rozrywki. Z początku chciał jej pokazać, że jeśli pozwolą się skusić fałszowi, balowej estetyce, to stracą coś ważnego, choć nie umiał dokładnie powiedzieć co. Coś, za czym tęsknił.

– Kochanie, spójrz, jakie to piękne! – mówił na pierwszej ich wspólnej wycieczce.

– Co?

– Przyprawy usypane w stożki, co za kolory...

– Nie myślałeś pewnie o tym, Anton, jakimi rękami oni to układają...

– No jakimi?

– Brudnymi, głupku, o to mi chodzi!

– Oj, tak jest, może i brudnymi, ale co to zmienia?

– Dla ciebie nic, a dla mnie wszystko.

– Wszystko?

– Tak, nie wiem, jak może ci się podobać coś takiego, w ogóle cała ta wycieczka...

– Nie podoba ci się?

– Podoba, ale czy musimy znowu chodzić po jakimś brudnym targu, przecież na wszystkich jest to samo. Jak jeszcze jeden brudas mnie dotknie i podetknie mi pod nos te pergaminy, to nie ręczę za siebie.

– Dobrze, możemy stąd iść.

– Ale przecież tobie się podoba.

– Wiesz co, ja myślałem, że jak będziemy jeździć autobusem po kraju, to więcej zobaczymy z tego, jaki naprawdę jest, mi się tak podoba, właśnie posłuchać ich języka, popatrzeć jak żyją.

– Wiesz co, jakby Egipt się komuś podobał taki, jaki naprawdę jest, to nie robiliby w biurach podróży tych kolorowych broszur. Właśnie po to przyjeżdżasz, żeby zobaczyć, że jest miejsce, gdzie można żyć jak w bajce, i gdzie jest tak ładnie jak na tamtych zdjęciach.

– To właśnie cała ta nieprawda w pigułce, cały ten disneyland, słuchasz mnie?

– Pigułka, pigułka, jak dobrze, że mi przypomniałeś, potrzymaj mi torebkę.

Po jakimś czasie Anton zauważył, że nie zdołają się porozumieć w pewnych sprawach. Na przykład temat tego, co warto robić w wolnym czasie, pozostał nierozstrzygnięty. On w wolnym czasie nie nudził się nigdy, w pracy natomiast regularnie, ona odwrotnie, pracowała z poświęceniem, nudziła się rzadko, za to czas wolny po zrobieniu manicure, wizycie u fryzjera, kosmetyczki, przyjaciółek, przeczytaniu jakiejś książki i obejrzeniu jakiegoś filmu, bardzo jej się dłużył. Tym bardziej więc skłonność Antona do spędzania jak największej ilości czasu w sposób dowolny traktowała lekceważąco. Właściwie przy odrobinie wyobraźni ich problem można nazwać estetycznym. Z czasem okazało się, że są pewne rzeczy, które dla Antona okazywały się niemoralne i nie mógłby ich nigdy zrobić, dla Ilony niektóre rzeczy były po prostu brzydkie, więc poświęcała im tyle uwagi, na ile zasługiwały jej zdaniem rzeczy brzydkie. Na przykład żebracy

i alkoholicy zostawali przez nią zupełnie niezauważani. Tylko Anton w swojej nieskończonej próżności postanowił im współczuć i dawał się naciągnąć na drobne sumy, co uczyniłoby go sławnym wśród miejscowych żebraków, gdyby ci pamiętali następnego dnia, co robili poprzedniego. Wciskał im do ręki drobne i pędził za Iloną, która nie zatrzymywała się w takich sytuacjach, więc musiał rozpychać tłum, żeby znowu nie pytała, gdzie jej się gubi. Nie znosiła nie samej jałmużny, ale momentu, kiedy stawała pośrodku pędzącego tłumu, rozglądając się naokoło za Antonem. Uważała, że wyglądała wtedy bezradnie, może trochę uroczo, ale przede wszystkim głupio, w czym jak zawsze miała rację.

Co się stało z tym młodym mężczyzną, który przewędrował największy kontynent na tym świecie i dalej czuł się wygnańcem ziemi, który nigdy nie chciał spocząć w poszukiwaniach swojego świętego Graala, choćby wszystkie mapy zawiodły? Urodzony na środku oceanu lądu, na zachodzie Syberii, doszedł na Finis Terra i wrócił.

Anton Pietrowicz, ów włóczęga, dał się oswoić wygodzie.

Iwan sięgnął do szafki, wyjął flaszkę wódki i zaczął nalewać do dwóch kieliszków.

– Wasze zdrowie, towarzyszu.

– Wasze – odpowiedział z uśmiechem brodacz. Do sali weszła Masza, niosąc talerz dymiącego wywaru.

– Jedzcie, towarzyszu, jedzcie, na zdrowie, wy z daleka, już mówiliście, taaak...

– Spokojnie tu u was – powiedział przybysz.

– Bardzo spokojnie. Nawet nie wiem, czego można tu szukać, wiecie?

– Spokoju.

– Ciszy, spokoju, bierzcie, ile dusza zapragnie. Tu jest tyle spokoju, tyle czasu, że moglibyśmy go dowozić do miasta na kobyłkach, w czynie partyjnym, oczywiście.

– Tak, tak – uśmiechnął się pod nosem przybysz – tak, tak, ale wywar dobry. Czym wy tu się w ogóle zajmujecie?

– Ja? – zdziwił się Wania.

– No i wy, i wszyscy.

– A, że tak, że niby, no ziemię się uprawia, drewno się rąbie, są i tacy, co pasą renifery, jest felczer jeden i ten leczy, jest mechanik, ale o części, z przeproszeniem, trudno jakoś tak, wiecie, budujemy przecież sowiecką ojczyznę.

– Ach, tak, bez części budujecie? Jak bez części zbudować cokolwiek?

– U nas ludzie najważniejsi – Wania zaczął się pocić – ludzie u nas za cegły robią, jak trzeba.

– Czasem też za tarcze. – starzec powiedział to jakby nigdy nic, siorbiąc gorącą zupę.

Wania spocił się jak mysz pod miotłą, poczuł jak spinają mu się mięśnie szyi. „Czyli będzie strzelał. Boże, dlaczego kazałem ikony zdjąć?" pytał sam siebie, „żeby chociaż pod ikonami". Zaczął palcami miąć pod stołem worek wypełniony pieniędzmi, na wszelki wypadek. Wiedział, czym to się mogło skończyć, wiedział, że ryzykuje życie, ale przecież trzeba było spróbować, mieć pewność, a co, niech będzie. Przecież przyjechał tu sam, więc może uda mu się przemówić do rozsądku walutą... Już wyciągał rękę z woreczkiem na stół, już chciał delikatnie przesunąć go w stronę przybysza, kiedy drzwi otworzyły się i z szerokimi uśmiechami weszła delegacja, niosąc przed sobą w wyciągniętych rękach tace z parującym mięsem, świeżym chlebem imponujących rozmiarów, wielkimi pełnymi farszu plackami czeburieki i wszelkimi dobrami, jakie wydała z siebie szczodra Matka Rosja.

– Oto dary nasze skromne dla was towarzyszu, tego – mówił tubalnym głosem ze szczerym uśmiechem wchodzący Sierioża – dary nasze, bo szczodrzy jesteśmy, tego, jak komsomolec kom-

somolcu ja wam, tego, chleb, sól, co chcecie w imieniu socjalistycznej ojczyzny, tego...

Wania sam miał ochotę zastrzelić Siergieja, nie czekać aż zrobi to enkawudzista. Kiedy brodacz obrócił się do drzwi, młody urzędnik dawał wszystkim nerwowe znaki, żeby milczeli i wyszli.

Sierioża jednak nie dawał za wygraną: – O tu, walonki dla was, tego, i to się przyda, tu zimy surowe, własny wyrób, tego, żony mojej, sama ze mną robiła, tego, walonki.

Wania siedział blady, jakby zaraz miał zemdleć.

Brodacz w końcu spojrzał na tacę i powiedział: – Szkoda było zwierzę zabijać. Ja mięsa nie jadam poza niedzielą. Za walonki dziękuje, Bóg wam zapłać.

Siergiej spojrzał zdziwiony, otworzył gębę, spojrzał na przekrwione strachem oczy Wani i wyszedł. Po chwili dało się zza drzwi słyszeć jego tubalny szept: – Walonki wziął, tego, mięsa nie je, tego, dziwak, ale cóż, ostanie się dla nas baraninki... – jego głos cichł w korytarzu.

Starzec, słysząc to, wybuchnął przez chwilę głośnym śmiechem, po czym zmarszczył brwi i dalej siorbał gęsty rosół.

Wania przemógł strach i jeszcze raz spróbował. – My tutaj towarzyszu mamy dla was...

– Co?

– Co robisz, kochanie? – spytała Ilona, wchodząc do kuchni. Anton siedział bez ruchu przed dużym talerzem pełnym usmażonych warzyw z mrożonki i wyglądał, jakby coś go bardzo zmartwiło – nie poszedłeś do pracy?

– Nie, źle się czułem.

– Coś ci jest?

– Nie, nic takiego, jakoś nie miałem ochoty, nie mogłem. A ty jak się czujesz, gorączka już zeszła?

– Tak, już lepiej – pomilczeli przez chwilę, po czym Anton znów zasępił się nad talerzem. Ilona podeszła do niego i siadła mu na kolanach, mąż czasem budził w niej czułość.

– O co chodzi z tymi warzywami?

– Nie ma niebieskich warzyw, wiedziałaś? Czerwone są, fioletowe są, zielone są, szare są, a niebieskich nie ma.

– I co?

– I nic, czy to nie dziwne?

Ilona poczuła się nieswojo, siedząc na kolanach Antona, jakby obejmowała przez pomyłkę obcego człowieka.

– Dziwne jest to, co mówisz. Jeśli masz dziś trochę czasu, zrobisz zakupy?

– Dobrze, za chwilę się do czegoś zabiorę – odpowiedział Anton. Widział chłód w jej oczach i było to dla niego przyzwolenie, żeby na nowo zatopić się w świecie, który dla siebie stworzył.

– Co?

– Dla was mamy... – Iwan miął nerwowo woreczek z drobnymi banknotami, które zebrali od wszystkich we wsi.

– No, co macie?

– No właśnie... jakby to... – Iwan ewidentnie szukał metody jak sprytnie kontynuować rozmowę. Pochylił się konfidencjonalnie nad stołem, zawisł blisko twarzy brodacza pochylonej nad miską, widać było jak na twarzy pojawiają mu się żyłki, poczerwieniał nieco, zdawało się, że szykuje się, żeby powiedzieć coś bardzo ważnego, na chwilę zamilkł, wybałuszył oczy, wstrzymał oddech i kichnął w zupę. Brodacz cofnął się gwałtownie, wprawdzie rosół bryznął mu na kołnierz i na sweter, ale uniknął oparzeń gorącą jeszcze zupą. Przy stole momentalnie powstało zamieszanie.

– Mój Boże, mam nadzieję, że nic się wam nie stało, że nic się wam, za przeproszeniem, nie oparzyło – krzyczał, patrząc na zalane spodnie, machał rękami, biegał wokół stołu, podawał

szmatki i nawet sam próbował powycierać zachlapanego zupą brodacza, ale po pierwszej próbie dostał porządnie po łapie.

– Masza, jeszcze talerz przynieś, ale szybko, szybko, mam nadzieję, że nic...

– Nic, nic, a wywaru już nie trzeba, nie przynoście – odpowiedział brodacz nieco rozdrażnionym głosem – na zdrowie, wypijmy lepiej. Zdrowie, ponoć, najważniejsze – powiedział, po czym spojrzał na Wanię tak, że ciarki przeszły. Po chwili sytuacja uspokoiła się nieco i Wania siedział w bezpiecznej odległości, a chmurny teraz przybysz odsunął od siebie talerz z niedojedzoną zupą.

– Zdaje się, Wania, że chcieliście mi coś powiedzieć.

– Ja, wam? Powiedzieć?

– Tak, właśnie wy – mówił brodacz grobowym tonem.

– Ach nic takiego, właściwie, chodziło o to, że na brodzie się zawiesiło, o tu, coś wam się...

– Wania, ty nie rżnij głupa, tylko mów, co wiesz – brodacz patrzył na niego poważnie, jakby w głębokim oczekiwaniu, co usłyszy.

Wania rozejrzał się, czy Masza nigdzie się nie kręci, pewnie poszła znów do Kolczakowej po jedzenie, tak jak się umówili. Pomyślał, ludzie interesują, tak ludzie, co by tutaj powiedzieć, żeby tak nie za bardzo, ale i swoją skórę unieść całą: – Ludzie u nas dobrzy, grzeszków to oni za bardzo nie mają... może trochę zbyt religijni, ale to się towarzyszu z czasem zmieni, tu się przemocą nic... zresztą, co ja wam będę mówił to, co sami lepiej wiecie. No, więc dobrzy, porządni, o zwierzęta dbają, ziemię szanują, w partii wszyscy są, nieprawomyślnych tu nie ma, tuniejadziec się nie uchowa, może Stiopa, stary pijanica, to wam każdy powie, „każdy powie, więc dlaczego nie ja?" – pomyślał Iwan – pije całymi dniami, żona go utrzymuje, skąd on ma tyle wódki, jak ona go tam cały czas jeszcze w chałupie trzyma, a nie wygoni, tego nikt nie wie. No, a Jegor pędzi bimber – Iwan na chwilę zamilkł,

zastanowił się, czy nie za dużo powiedział, ale słowo się rzekło – ale trochę tylko...

– I tyle?

– Tyle.

– Więcej nie wiesz? – spytał się stary.

– Nie wiem.

– A o mnie też nie?

– Nie, skąd, jakaś tajna persona, skąd mnie znać, ja naprawdę...

– No dobrze, już dobrze. A powiedz mi, są tu dobrzy ludzie?

– Sami dobrzy, towarzyszu.

– A kto się zajmie małym Siemliakowem?

– A tego, wszyscy.

– Wszyscy, znaczy nikt, Wania.

– Ależ towarzyszu!

– Ty mnie lepiej słuchaj. Kto się nim zajmie?

– Mara, nauczyciel, obiecał, jeśli nikt go nie przygarnie, to on go wykarmi.

– Dobrze, a teraz prowadź mnie do domu, gdzie mieszkał stary Zosima.

– Kto?

– Stary Zosima. Chyba nie zapomnieliście tu w N., kto był stary Zosima?

Iwan grzebał w pamięci, aż w końcu wpadł, że to chyba dziadek mu kiedyś opowiadał o jednym wariacie, co zrobił brzuch córce sekretarza i drapnął na Zachód, coś mu zaczynało w głowie świtać, ale bał się za bardzo, żeby jasno myśleć. Zdziwiony wstał, poszedł przodem, otworzył drzwi i przytrzymał je, żeby starzec przeszedł. Potem poszedł za nim.

„A więc to o to chodzi, odgrzebali starą sprawę, sprawdzają. Zosimy nie ma, ale wiadomo, że jak się chce, zawsze się coś znajdzie..." – myślał Wania.

Brakowało tylko kilku stron opowieści, bez których dało się odgadnąć przebieg wydarzeń, ale ludzki strach, odwaga i nikczemność nie zostały zapisane. Zastanawiał się, o czym ludzie rozmawiali ukryci po domach albo zajęci pracą, rozkrzyczani lub cisi, jak nagle nauczyli się kłamać, stali się podejrzliwi i nerwowi. Wyobrażał sobie wykrzywioną strachem twarz Anastazji, żony Wani, kiedy czekała na niego. W wiosce wszyscy już wiedzieli, co się święci, sprzątali wszystko, co mogło się wydać podejrzane, zdejmowali ikony i chowali głęboko, wieszali portrety. Nigdy nie spotkali się z tym, żeby ktoś przyjeżdżał do wioski sam, bez obstawy, bez bagażu nawet, i spodziewali się kontroli, ale jakiej, nie mieli pojęcia. Przecież wiadomo, że zawsze znajdzie się paragraf.

Mara otrzymał w końcu list Wani, który przyniósł mu sześcioletni wnuk Dymitra. Wiedział już, że nadjeżdża ktoś, kto wzbudza powszechny strach, choć nie do końca jeszcze wierzył, że rzeczywiście coś przerwie wieloletni sen, w jakim pogrążona była wioska. Odesłał dzieciaka i odpakował list od Wani drżącymi ze strachu rękami.

Drogi przyjacielu! – pisał Wania, który od czasów szkolnych nie utrzymywał z Marą bliskiej zażyłości – ty jeden rozumiesz w jakim jesteśmy niebezpieczeństwie – pisał Wania, nie unikając błędów ortograficznych. – Ty wiesz, że ludzie, którzy boją się o swój los, zdolni są do rzeczy najgorszych. Nie pozwól, aby to się powtórzyło. S. przygotowuje się na sąd, ale przecież wiesz, że nie będziemy gotowi. Dymitr ze strachu opowie jak jego zięć kradł maszyny do wyrębu lasu, jego żona z rozpaczy doniesie na niego, córka znienawidzi oboje i to, właśnie to, czeka nas wszystkich, wystraszonych i małych, a ci, co się nie złamią, zostaną zupełnie sami. Nie pamiętasz, o czym rozmawialiśmy po kryjomu, dawno temu, kiedy nazywano nas dziećmi?

Tylko ty, możesz nas ocalić – Mara wyczuł, że Wania chciał połechtać jego ambicję, ale nie umiał zrobić tego delikatniej – Po-

czekaj, aż ON przybędzie do wioski, niech go to zaintryguje. Potem wybierz jednego z nas, obojętnie kogo, ON już wie, że każdy z nas zasługuje na karę, i... odwróć uwagę. Śledztwo kryminalne, to przecież ciekawsze niż sprawy polityczne.

Zaklinam cię, nie ma zbrodni w tym, co konieczne.

List spal.

Bądź rozsądny, wiem, że własnego życia ci nie żal.

Wania

PS

List spal na pewno.

Mara zmiął kartkę i wrzucił do pieca. A więc tego żąda od niego rozsądny, dobry Wania? Chce, żeby zadać zagadkę, która musi być oczywista. I Wania pewnie nazwie to bohaterstwem, zrobić to, co koniecznie, poświęcić wszystko, żeby ocalić tych kilku ludzi, z którymi nic go nie łączy... Mara zastanowił się i zaczął pakować najpotrzebniejsze rzeczy do plecaka. Nóż, który nagle wyglądał podejrzanie, prymus, suchary, pieniądze, oczywiście pieniądze. Postanowił wymknąć się z wioski przy pierwszej okazji, przemknąć za ostatnie domy, potem dojść do miasteczka, do stacji i wyjechać. Nie wiedział, czy ktoś będzie go szukał, czy nie, nie miało to dla niego znaczenia. Założył grubą skórzaną kurtkę, wysokie buty, ciepłe onuce. Wiedział, że przy obecnym zamieszaniu ciężko będzie wyjść niezauważonym, postanowił więc poczekać na przyjazd gościa, wiedział, że cała napięta uwaga mieszkańców skupi się wtedy na nim. Zdjął kurtkę i czekał, aż usłyszy warkot silnika. Nie wiedział, na czym skupić myśli, więc siedział bezmyślnie, spoglądając co jakiś czas w okno. Kiedy tylko upewnił się, że Wania jest już w S., zarzucił plecak na ramię i zaczął przemykać się w kierunku drogi do N. W pewnym momencie zobaczył z oddali kilku chłopów, którzy pospiesznie wracali z pola, niewiele myśląc uchylił drzwi stodoły i wskoczył do środka.

Wewnątrz było cieplej, czuć było zapach siana, panował przyjemny półmrok. Można było poczekać nawet do zmroku, gdyby było trzeba. „Czyja to stodoła, pomyślał Mara, aha, chyba starego Stiopy". Drzwi skrzypnęły za nim cicho, szedł w głąb, ostrożnie stawiając kroki w miękkich butach. Zbliżał się już do sterty siana, kiedy potknął się o coś miękkiego. Schylił się i dotknął ciepłego ciała, rozległo się ciche mamrotanie. Marą wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. Poczuł zgniły oddech przesycony przetrawioną wódką i swąd niemytego ciała. Zrobił kilka kroków w tył i potknął się o rzucone byle jak grabie, wywrócił się i narobił hałasu. Zaklął pod nosem i leżał chwilę bez ruchu. Potem powoli zaczął się podnosić. Słyszał chrapanie starego pijaka i czuł jak na nowo ogarnia go obrzydzenie, spowodowane już nie dotykiem, ale samą obecnością tego człowieka. Ciepło jego ciała, smród i świadomość, że nie ma dokąd uciec przed jego obecnością, spowodowały, że niemal zwymiotował. Wstał powoli. Podszedł bliżej leżącego człowieka. Starał się wyraźniej dojrzeć rysy jego twarzy, żeby mieć pewność. Pewnie wrzucili go tu, żeby nie walał się gdzieś na widoku. Raz się wyśpi na sianie, pomyślał Mara. Nagle poczuł jak palce pijaka zaciskają się na jego kostce, jak to cudze ciepło znowu go ogarnia, jak śmierdzący oddech przenika do jego płuc. Ukląkł i wydobył zza pasa nóż. „Ciekawe jak umiera taki człowiek?", pomyślał i wahał się jeszcze przez chwilę. Potem wbił ostrze głęboko w gardło leżącego i poczuł jak ofiara charkocze. Szarpnął ostrze, Stiopa chwycił go mocno za rękę, w której trzymał nóż i unieruchomił na chwilę ostrzę. Pijak próbował krzyknąć, ale z jego ust wydobyło się tylko krakanie. Mara patrzył chwilę na agonię człowieka, a w jego oczach tliła się rozpacz i fascynacja. Potem zagościło w nich też obrzydzenie i wtedy wyswobodził dłoń z uścisku umierającego i uderzył nożem jeszcze dwa razy. W oborze za ścianą poruszyły się niespokojnie zwierzęta. Mara wstał powoli i wytarł dokładnie dłoń w siano. Przeciągnął trupa na stertę słomy i dokładnie

w niej zakopał. Potem uchylił drzwi od stodoły i wpuścił do środka trochę światła, żeby zobaczyć, czy nigdzie nie jest brudny od krwi. Wyszedł i spokojnie wrócił do swojego domu, zostawił plecak i nóż i poszedł poszukać Wani.

– Tędy, towarzyszu, dziadek Aleksiej na pewno będzie wiedział, gdzie mieszkał stary Zosima, zaraz spytamy. Masza, skocz no po babę starego Aleksieja, on sam nic już nie rozumie, ona mu tylko wszystko tłumaczy.

Masza dygnęła i już jej nie było. Skierowali się na ganek jednego z domów, na którym siedział, zdawało się, stuletni dziadek. Starzec drzemał w fotelu, w opuszczonej ręce trzymał cybuch fajki, a przy nodze stała butelka bimbru, którym, jak widać, dziadek się konserwował. Wania potrząsnął lekko dziadka, ten spojrzał na młodzieńca bez zainteresowania i zamierzał spać dalej. Wania jednak nie dawał za wygraną, co stary będzie spał, jak tu historyczne rzeczy się dzieją. W końcu dziadek ocknął się do końca spojrzał na obu przybyłych i zbladł zupełnie.

– Ty...

– Co mówisz, dziadek?

– On...

– Nic się nie da zrozumieć, czort go wie.

– Ty... stary... ty smyku, wróciłeś? – spytał dziadek całkiem wyraźnie przybysza.

– Smyku, wszystko, mu się... towarzyszu, wybaczcie, od rzeczy gada – mówił Wania coraz bledszy.

– Tak wróciłem – odpowiedział spokojnie brodacz.

– Na stałe?

– Na stałe.

– A niech mnie.

– A niech cię – przyznał przybysz i pomógł starcowi wstać z krzesła.

– Zosima!

– Cicho tam, dziadek – zaczęła uciszać go wnuczka.

– To wy, bądźcie cicho, kobieto. Kola? – spytał przybysz.

– A jakże, ten sam, nie poznajesz mnie, smarkaczu? – krzyczał bezzębnymi ustami dziadek, wstając z wysiłkiem z krzesła. Trudno było w tej zmęczonej twarzy poznać rysy młodzieńca, który czterdzieści lat temu opuścił rodzinny dom. Tylko najstarsi ludzie pamiętali jeszcze jego wyjazd. Zosima, to była już tylko legenda. Po chwili objęli się gorąco. Nie minęło wiele czasu, a już na ganek zbiegła się niemal cała wieś, między zgromadzonymi trwała narada szeptem, wszyscy chcieli wiedzieć w czym rzecz i kto to stoi przed nimi.

– Zosima, co ty nas tu straszysz, ja myślałem, że nie żyjesz już dawno straciliśmy nadzieję, ale nas nastraszyłeś! A myśmy myśleli, że ty z partii z góry! Że to wizytacja jakaś... – krzyczał ktoś. Po chwili na ganku stało już pół wsi. Wszyscy się dziwili, jak to ludzkie losy się układają. Wrócił stary Zosima, legenda wioski, zuchwały młodzieniec, co kiedyś dawno strzelał na wojnie do białych, a potem uwiódł córkę samego sekretarza i uciekł. Wszyscy opowiadali sobie po raz kolejny historię, którą i tak znali na pamięć. Tylko Iwan widać było, gdyby mógł do końca uwierzyć w cud, zdzieliłby brodacza porządnie w mordę.

– A wy co myślicie, uczciwych ludzi straszyć, łajdaku, łapówki wyciągać! – wszyscy zebrani spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Iwan umilkł. Po chwili zwrócili oczy na starca.

– Ja nikogo straszyć nie chciałem. Sam widziałem, jak tu się strzela... Dlategom mówił, co powiedziałem. Ani pieniędzy, ani gościny nie chciałem...

– Ale walonki wziął, tego – zamruczał Siergiej. Zdawało się, że zgromadzeni tylko czekali na ten ostatni znak, żeby rozładować strach i całodzienne napięcie oczekiwania. Śmiali się głośno, skręcali się ze śmiechu, klepiąc się po ramionach, zginali się w pół i krztusili się śmiechem. Brodacz nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, więc w końcu i sam zaczął się śmiać,

jego brzuch podskakiwał rytmicznie, a broda się trzęsła. Chciał podejść do Iwana i przeprosić go, ale Wania myślał już o czymś innym: ulice przystrojone i tak ładniej, pozamiatać, wyczyścić też nie zaszkodzi, a zawsze coś nowego we wsi. Niech będzie, nasz stary Zosima, niech sobie będzie. To byli dobrzy ludzie, kiedy się nikogo nie bali.

Zosima wiedząc, że potem może nikt go i nie posłucha, powiedział: – Jest tu Mara, nauczyciel?

Tłum zafalował i po chwili wypchnięto naprzód mężczyznę około trzydziestoletniego, który patrzył na wszystkich nieufnie i ze złością.

– Mara, to wy?

– Ja.

– Obiecaliście zaopiekować się młodym Siemliakowem?

– I obietnicy dotrzymam.

– Będziecie dobrzy dla niego?

– Jak dla siebie samego.

– To chyba wystarczy.

Mara stał przez chwilę na środku, nie patrząc na nikogo, a tylko podejrzliwie przyglądając się swoim dłoniom. Potem spojrzał na Wanię tak, że młodego urzędnika przeszył dreszcz i szybkim krokiem odszedł tam, skąd przyszedł. Wania pobiegł za nim. Dognał go niemal już przy domu Mary, chwycił za ramię i odwrócił ku sobie: – Kto?

– Stiopa.

– Tak myślałem.

– Celowo kazałeś go tam położyć?

– Nie.

– Kłamiesz.

– Może i kłamię.

– Co teraz?

– Teraz nic. Posprzątaj po sobie.

Mara patrzył przez chwilę na Iwana, jakby żałował, że teraz nie ma przy sobie noża.

Iwan wiedział o tym, ale nie bał się. – Spal stodołę, najlepiej jeszcze dzisiaj. Ludzie zbyt są zaaferowani tym dziadem, co przyjechał. A wina spadnie na pijaka.

– A ty wiesz, kim jesteś Iwan? Wiesz?

– Ja mam ręce czyste.

– Ale duszę masz zgniłą, drogi przyjacielu – powąchał Wanię gdzieś w okolicy ucha – czuję, jak śmierdzi.

– Idź i spal stodołę. Chyba że chcesz opowiedzieć wszystkim, jak zabiłeś Stiopę?

Mara stał jeszcze chwilę, patrząc na swoje dłonie, potem wszedł do domu. Iwan nie szedł za nim, wiedział, że wszystko potoczy się właśnie tak, jak musi się potoczyć i że teraz nic już nie grozi ludziom, których tak bardzo kochał, z którymi żył. A kim naprawdę był brodacz i po co przyjechał?

– A dlaczego, wybaczcie – wtrącił się ktoś – tak wam zależy na tym małym chłopcu?

I wtedy starzec opowiedział sam historię, którą wszyscy znali tutaj od małego.

Za młodu Zosima popełnił straszny grzech, za który, jak mówią, przyjdzie mu pokutować jeszcze po śmierci: grzech ciekawości. Najpierw zaciekawiła go bardzo córka miejscowego sekretarza partii i on interesował ją nie mniej. W tajemnicy przed jej ojcem spotykali się parę miesięcy, a na każdym spotkaniu Zosimie udawało się zaspokoić odrobinę więcej ciekawości, aż do momentu, kiedy poznał już wszystko, co chciał wiedzieć. Wtedy zniechęcony płytkością i jednostajnością poznania porzucił dziewczynę dla nieświętych ksiąg i karcianych rozrywek. Jednak okazało się, że grzech taki nie może ujść bez kary i Zosimą zainteresowało się WCZK. Warwara w ostatnim odruchu gasnącej miłości ostrzegła go przed niebezpieczeństwem i Zosima, niewiele myśląc, zabrał z domu kilka niezbędnych drobiazgów i grube liny

i w nocy uciekł do miasteczka N., w którym była stacja kolejowa. Konia puścił wolno jeszcze przed miasteczkiem, a sam podwiązał się pod jednym z wagonów i ruszył w największą podróż swojego życia. Jechał po kilkanaście godzin a potem przesiadał się na inny pociąg, wędrował głównie nocą, ale po pierwszej próbie nie podwiązywał się więcej pod wagonami. Tak dostał się na statek, który przewiózł go do Niemiec a potem, tak i siak, dojechał do Szwajcarii. Warwarze jednak został po nim drobiazg, który rósł w niej stopniowo, aż wyszedł na świat z wielkim krzykiem. I tak Zosima został ojcem. Córka narodziła się krótko po ucieczce młodego hulaki, ale z ojcem sekretarzem ani wielki brzuch, ani cudze dziecko nie przeszkodziło Warwarze w zamążpójściu. Wyszła za porządnego urzędnika, może tylko pił trochę za dużo i żyła z nim bez miłości, za to w spokoju pełnym dobrych nawyków udających uczucie. Sam Zosima wyjechał na drugi koniec świata i jakby poczuł, że krew z jego krwi zostaje bez opieki, bo wrócił w sam raz, żeby dowiedzieć się o śmierci dziewczyny, której imię poznał – jego córki. Jednocześnie umarł stary sekretarz Siemliakow i Zosima był już względnie bezpieczny. Wiedział, że sam nie będzie umiał zająć się wnukiem Antonem, ale chciał być blisko.

V

Anton Pietrowicz miał życie pełne niespodzianek, być może dlatego, że sam zaskoczył rodziców swoim przybyciem na świat. Rodziców prawie nie znał, zmarli, kiedy był jeszcze całkiem mały. Wychował go przybrany ojciec, człowiek dobry, choć na wpół szalony. Żyli razem, w małym domku na skraju wsi i kiedy wspominał swoje dawne mieszkanie, czuł się, jakby pochodził z odległej epoki, jakby cudem był spadkobiercą nieznanej cywilizacji. Jego opiekun był nauczycielem w wiejskiej szkole i zmuszał Antona do czytania i kaligrafowania. Zami-

łowanie do książek, nawet wpojone przemocą, trwało w nim niezmiennie przez całe życie. Czytał klasykę, stary zniszczony papier zawsze dawał mu mnóstwo radości. Uwielbiał zapach, który unosił się wokół niego, kiedy podchodził do półki z książkami i wyciągał rękę. Czuł wtedy, że od tego w którą stronę pokieruje rękę, zależy jego los, od ruchu ręki w prawo albo w lewo zależy nastrój dnia, to, czy czas przygniecie go, czy on użyje czasu. Wkładał więc dłoń w ciemność, z której dopiero miały wynurzyć się pierwsze kształty, przerażające i piękne. Jeśli trafił na książkę, która go nie ciekawiła, wychodził z domu zrozpaczony, że nic innego nie zabije jego nudy i szedł daleko w pole, wściekły na przestrzeń, która się nie kończy. Kiedyś pomyślał, że gdyby tak szedł i szedł, w końcu doszedłby do miejsca, w którym coś się zaczyna, miasto, światła, ludzie, morderstwa i miłości, cały ten świat, który docierał do niego w postaci konserw mięsnych i książek. Uwierzył, że świat stanie się taki, jakby ktoś o nim tylko opowiedział, jakby nigdy nie skalała go nuda materii. Tak myślał Anton Pietrowicz, który łatwo się wzruszał, płacząc w chacie utkwionej pomiędzy krótką i nieutwardzoną ulicą łączącą wieś z pustym niebem.

Macoch (wszystkim postaciom zaludniającym jego życie i jego wyobraźnię musiał nadać własne imiona) też był sentymentalny, sentymentalny i zły. Anton nigdy nie zapomniał jak Macoch w chwilach słabości zasypiał w swoim znoszonym błękitnym garniturze, który zakładał na niedzielne nabożeństwo, w czerwonym krześle o wytartym filcu, z książką w dłoni, jakby był śmiertelnie wyczerpany. Jego czarna broda odbijała światło i kontrastowała z bladą twarzą. Czasem mały Anton myślał, że Macoch nie żyje i wtedy przeszywał go dreszcz rozkoszy, przerażenia i pewności nadchodzącej przygody. Tak bardzo bał się każdego z rozwiązań, że nigdy nie miał odwagi go budzić. Czekał przycupnięty w kącie jak pies, który czuwa nad właścicielem. Nie mógłby odejść ze swojego psiego kąta, zanim nie wiedziałaby na pewno, czy Ma-

coch umarł, czy tylko zasnął, ale tak bardzo bał się go zbudzić, że czekał, czasem kilka godzin, bo Macoch nigdy nie sypiał dłużej. Tak chłopiec uczył się cierpliwości w oczekiwaniu.

Erudycja Antona składała się do tej pory z czytanych wciąż od początku książek Macocha i ze zdań, które jego przybrany ojciec powtarzał, kiedy na chwilę przerywał lekturę. Biblioteka była w pobliskim miasteczku, gdzie nikomu oczywiście nie opłacało się jechać po książki, dlatego Macoch był najmądrzejszym i najlepiej wykształconym człowiekiem w wiosce, a Anton musiał to uszanować. Pouczał i kazał się słuchać. Mówił, a chłopiec słuchał i uczył się piękna. Coraz częściej zdania wygłaszane pojedynczo lub w całym monologu Anton mógł powtarzać z pamięci, ale nigdy nie wolno mu się było odezwać. Przerwać mógł tylko sam Macoch, zmęczony mówieniem. Anton siedział wtedy na krześle wysuniętym na środek pokoju, patrząc na opiekuna, który chodził po niewielkiej izbie, powtarzając dobitnie słowa wykładu, to krzycząc z egzaltacji, to rzeczowym tonem znawcy żądającego absolutnego posłuchu. Świat był wtedy prosty i jasny, a wszystkie pytania znajdowały odpowiedź z łatwością.

Z biegiem lat słowa Macocha stawały się coraz bardziej absurdalne, szalone, a czasem zwyczajnie głupie. Wtedy wymagał od Antona jeszcze większej uwagi i z płonącymi oczami czekał na wyraz akceptacji i podziwu w oczach chłopca. I wtedy zaczął go bić – kiedy Anton nie rozumiał jego bełkotliwych wykładów i coraz częściej przerywał pytaniami, które sprawiały, że Macoch wybuchał wściekłością. Poza tym żyli dobrze, nawet przykładnie. Chłopiec pomagał w utrzymaniu domu, sprzątał i gotował, pracował, choć nie ponad siły. Macoch chwalił go i był z niego dumny. Kiedy nauczyciel wracał ze szkoły siadał przy stole, pozwalał podać sobie zupę i herbatę, kazał chłopcu usiąść koło siebie i czasem gładził go po głowie, jakby w zadumie. Anton myślał, że w jego duszy znalazło się miejsce dla kogoś jeszcze,

kto zawsze się spóźniał, ale czasem udawało mu się zaskoczyć Macocha i zawładnąć na chwilę jego dłońmi. Żyli w symbiozie, ale miało minąć jeszcze wiele czasu, nim Anton przekonał się jak piękny był to czas.

Co tutaj oznaczało zabójstwo, zdrada, zbrodnia? Tylko wiejską awanturę lub stryczek. Po prawdziwy dramat trzeba było jechać na Zachód.

I dlatego coraz częściej pytał, coraz więcej marzył i Macoch już niemal codziennie bił go za brak uwagi i za brak podziwu. Anton postanowił wyjechać. Przybrany ojciec żegnał go z zaciętymi ustami bez błogosławieństwa. Pewnego dnia obaj stanęli na progu z decyzją w oczach – Macoch, że już nigdy do nikogo się nie odezwie, Anton, że więcej nie będzie go słuchać. Macoch był pewien, że Anton pozna więcej niż on kiedykolwiek miał możliwość poznać i uzna go za głupiego. Obaj w duszy skowyczeli ze smutku i obaj cieszyli się z chwili samotności, która zaraz miała nastąpić i trwać bez końca, bo wiedzieli, że nikt nie zastąpi ojcu syna, a synowi ojca.

Tymczasem Anton wyjechał, najpierw do liceum, potem na studia. Poznawał świat, kochał go i był nim rozczarowany, za co wstyd mu było przed Macochem. Odwiedzał go czasem, ale ten, zgodnie z udzieloną sobie obietnicą, nie odzywał się. Anton skończył studia w jednym mieście i przeniósł się do innego, potem dalej, przesuwał się coraz bardziej na zachód. Widział wiele i wszystko, co widział, cieszyło go, ale nie znalazł scenerii pod wielki dramat swojego życia. W końcu dotarł do Finisterre, krańca Europy. Dalej, jak myślał, nie było nic, tylko ocean, który naśmiewał się z niego albo prorokował.

W końcu trafił do miasta, które zaskakiwało go swoim tłokiem, pośpiechem, bezwstydem, brzydotą i urokiem. Jego sny zaczęło dyktować mu zmęczenie. Anton wyobrażał sobie, że tutaj kalendarze można przerzucać tylko po to, żeby pielęgnować sam ruch i przynajmniej od czasu, kiedy ostatnio całe miasto zostało spalo-

ne, nic się w nim nie zdarzyło. Wynajął małe mieszkanie w centrum i sporo pił. W pewnym momencie, wiedział o tym, będzie musiał się czymś zająć, to nie znaczy głupią dorywczą pracą, ale coś zrobić ze swoim życiem, na coś się zdecydować. Kiedy już kończyły mu się pieniądze, okazało się, że duża firma szuka pracownika z jego wykształceniem i znajomością języka rosyjskiego, czyli idealnie dla niego. Rozmowa kwalifikacyjna wypadła bardzo korzystnie i został zatrudniony. W ten sposób Anton został na stałe w Warszawie.

Prosty i jasny proces zatrudniania nie kryje w sobie zbyt wielu tajemnic, nie pozostawia wiele możliwości wyobraźni, takie rzeczy po prostu się dzieją. Anton Pietrowicz przychodził teraz do pracy każdego dnia, siadał przed swoim komputerem, miał do dyspozycji swoją sekretarkę i swój telefon, komplet mebli, miękki dywan, skórzany fotel, kolekcję nikomu nieprzydatnych drobiazgów w stylu ozdobnego przycisku do papieru w kształcie skrzywdzonej małpki, pióra ze złoconą stalówką oraz telefonu komórkowego, który był od niego zdolniejszy i zaprojektowany z większą troską. Jego marzenia były proste, właściwie od czasu kiedy wyjechał z domu ciężko było mu marzyć, bo zbyt szybko przechodził od sfery domniemania do rzeczywistości. Rzeczywistość, która nie wydawała się odległa, była jeszcze bardziej niedotykalna, kiedy można było zdobyć wszystko, czego człowiek zapragnął. Wiedział jak sobie zorganizować tak zwane szczęście i miał metodę, która każde rozwiązanie mieszczące się w stworzonym przez niego systemie podawała mu w sposób logiczny i błyskawiczny, co inaczej nazywa się odnoszeniem sukcesu. Tak bronił się przed swoją tęsknotą. Bawił się w to aż do totalnego znudzenia. Teraz – wiedział to – jest w ślepym punkcie, bo nikt nie umie razem z nim zaśmiać się z tej nudnej zabawy, straty, zyski, awanse i zwolnienia, to wszystko trzeba brać zupełnie na poważnie.

VI

Anton Pietrowicz wracał z delegacji wcześniej, nie wiedział o tym nawet jego szef. Po prostu powiedział, że jest chory i wyjechał, miał już dość całego tego zamieszania. Wysiadł z pociągu i powoli szedł przez ciepły letni zmierzch. Zobaczył z daleka, że w oknie jego mieszkania pali się światło. „Łazienka – pomyślał – właśnie się kąpie". Rozmarzył się chwilkę, oczami wyobraźni widząc już żonę, wziął głęboki wdech i przyspieszył kroku. Postanowił wejść do mieszkania cicho, tak żeby go nie widziała, w teczce miał butelkę wina. Otworzył powoli drzwi do mieszkania i zaczął zdejmować płaszcz. Nagle potknął się o buty. To nie były ani jego buty, ani buty Ilony. To nie były buty sąsiada ani sąsiadki, ani hydraulika, ani administratora. To były buty jego szefa. Z łazienki dobiegł dźwięczny, pełen młodzieńczej energii śmiech Ilony. Anton wyobraził sobie jak się przeciąga i po plecach przebiegł mu dreszcz. Pomyślał jak te dwa modne i drogie lakierki wchodzą tu, stukając radośnie obcasami o podłogę, jak złowieszczo marszczy im się skóra przy każdym kroku i jak odbija się w nich cały przedpokój mieszkania Antona. Wyobrażał sobie jak Ilona podchodzi do tych bucików i zarzuca ręce na szyję ciału, które je dźwiga. Po raz pierwszy doznał owego dziwnego uczucia, które miało definiować jego dalszą egzystencję: świat przyprawił jego wyobraźnię o mdłości. Szybkim krokiem podszedł do stolika i napisał krótki i dość jednoznaczny list. Jego zabije. A ona, ona...

Anton Pietrowicz wsiadł do samochodu i poczekał, aż nieco uspokoi się drżenie palców. Spoważniał, zmrużył oczy i zmarszczył czoło. Po chwili udało mu się przegnać spod czaszki wszystkie te niedorzeczności. Faktem jest, że potknął się o buty swojego szefa, faktem jest, że zobaczyli się, ich wzrok spotkał się w zawieszonym w przedpokoju lustrze i faktem jest, że

Anton uciekł z mieszkania i nie zamienił ze swoim szefem ani słowa. Nie zostawił listu, nie wybijał okien, nie zrobił nic, Bóg jeden wie dlaczego. A teraz trzeba było znaleźć jakiekolwiek wyjście z tej sytuacji, coś zrobić, to się przecież musiało jakoś skończyć. Pojedynek, tak pojedynek... po chwili po prostu przyszedł do niego ból zdradzonego i wściekle docisnął pedał gazu do podłogi. Prowadził samochód dużo szybciej niż normalnie, dużo szybciej niż przyzwoicie, a nawet szybciej niż, jak to się mówi „ostra jazda". Na zakrętach wpadał w lekki poślizg, o Boże, jak szybko. Było mu wszystko jedno. W jedną noc unieważniło się jego życie.

Zatrzymał się przed jakimś obrzydliwym przydrożnym barem, w którym barmana nic nie zaskoczy. Posiedział kilka godzin, sam nie wiedział jak długo. Starał się właściwie zastanowić, kim jest, z tego przecież powinno wynikać, co powinien zrobić. W miarę jak zwiększała się ilość wypitej wódki, coraz trudniej było mu myśleć, myśli jakoś nie układały się: „Właściwie nie lubię wódki – myślał – właściwie nie lubię pić tak dużo, jeśli chodzi o dużo, wolę inne alkohole...". Potem wstał, zapłacił i poszedł w kierunku samochodu. Zaciskał ręce na kierownicy dużo mocniej niż było to potrzebne, aż palce mu bielały. Jechał za miasto. Niestety, alkohol atakuje pamięć opornie. W końcu wyrwał się na wolną przestrzeń i trasa rozwinęła się przed nim równą wstęgą, z migającymi po bokach odblaskowymi słupkami. Na siedzeniu pasażera leżał ukradziony skądś gruby sznur i kupiona kostka mydła. Wyjechał na środek polnej drogi, gdzie nic nie było, za nim czerniły zęby pierwsze drzewa lasu. Słońce wstawało bardzo leniwie, zalewając całą przestrzeń żółcią.

Anton skręcił w kierunku drzew i ledwie utrzymał kierownicę, skacząc po muldach pola. Zatrzymał się tuż pod drzewem. Wziął sznur z siedzenia obok i otworzył drzwi. Do samochodu wpadło zimne powietrze poranka, Anton dostał dreszczy i poczuł jak powietrze wchodzi pod skórę. Czuł jak cały sztywnieje i zrobiło

mu się bardzo nieprzyjemnie. Skąd wziął się ten sznur do cholery i dlaczego smaruję go mydłem? Teraz ważny jest wzór – na przykład literacki – bo trzeba to zrobić z godnością, a przykład jak na złość nie chciał się przypomnieć.

Anton podniósł z podłogi samochodu calutką butelkę wina, która wypadła mu z torby, włożył denko do buta i kilkoma uderzeniami o drzewo odbił korek. Pociągnął tęgi łyk. Wezmę ją ze sobą, pomyślał, tak chyba będzie lepiej. Wysiadł z auta i zaraz się o nie oparł, nie był w stanie stać. Dużo wypił w knajpie i jeszcze to wino. Wziął w ręce sznur i mozolnie zaczął wdrapywać się na maskę. Najpierw położył na niej ręce, oparł się mocno, stęknął i spadł na twarz. Zaczął powoli przesuwać klatkę piersiową po masce i starał się przełożyć ciężar ciała do przodu, jednocześnie poruszając nogami, jakby idąc w miejscu. Po chwili znów oparł się o maskę. Dlaczego właściwie chciałem zabić jego? Przecież jedynym człowiekiem, który miał coś do stracenia, jestem ja.

– Antonie Pietrowiczu, wyzywam pana na pojedynek. Jest pan łajdakiem – wybełkotał z przekonaniem.

– Jest pan godzien najwyższej pogardy. Przyjmuje pan wyzwanie?

– Tak – odpowiedział, i próbował ustać na własnych nogach, żeby móc sobie spojrzeć w oczy, stojąc prosto.

– Wybierz broń.

– Broń?

– Tak, broń.

– A, to nie wiem.

– Jak to? Nie uda nam się sprokurować jednakowych pistoletów?

– Nie, o tej porze chyba nie.

– Ech, więc jak mam pana uśmiercić?

– Nie będę się uskarżał na żaden sposób.

– Ale to już nie będzie pojedynek, Antonie Pietrowiczu, to będzie zabójstwo.

– Nie gadaj tylko właź na maskę, tchórzu.

– Łajdaku.

– Draniu.

– Starczy, już wchodzę. – Anton jeszcze spróbował, wytężył całą zręczność, jaką pozostawił w nim alkohol i wczołgał się na maskę. Spróbował przerzucić sznur przez gałąź położoną wyżej, ale kiedy spróbował się do końca wyprostować, stracił oparcie i spadł na kolana.

– No tak, tak – mruczał pod nosem. W końcu zdesperowany przerzucił sznur przez gałąź, do której niemal sięgał ręką. Gdyby nie zawiązał węzła szubienicznego wcześniej, teraz z pewnością by mu się to nie udało.

Zawiązał sznur na gałęzi. Poczuł jak na suchych ustach zbiera się powietrze. Miał wielką ochotę napić się wina, jeszcze choć łyk, choć jeszcze maleńki łyczek, który trzymałby w ustach w nieskończoność. Spojrzał z ukosa w niebo i po raz pierwszy od dawna zobaczył gwiazdy, zbiorowisko banalnych świecidełek wiszących poza zasięgiem ręki. Spojrzeć na żonę. Wspomniał dotyk jej skóry, taki miękki, leciutki, przypomniał sobie jak porusza się przez sen. Wiedział, że teraz czeka na niego i będzie czekać aż do rana, wiedział, że nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić, gdzie iść, widział jak siedzi teraz w łazience, bo przecież brała kąpiel, kiedy przyszedł do domu, jak na zimnej podłodze leżą kawałki stłuczonego lustra (przecież musiała za złości rozbić lustro), słyszał jak rytmicznie szlocha. Zrobiło mu się jej żal i niemal sam się rozpłakał.

– Żałosne pijackie łzy, Antonie Pietrowiczu. Proszę, niech pan stanie na wysokości zadania.

– Tak – odpowiedział tylko. Założył na szyję ściskaną wcześniej kurczowo pętlę, podniósł głowę i spojrzał w górę, aż wszystko zawirowało i zsunął się z maski samochodu.

– Pan wygrał, Antonie Pietrowiczu – pomyślał, zamykając oczy.

Rano Anton Pietrowicz obudził się mokry i zziębnięty. Na szyi miał niezaciśniętą pętlę, która była na tak długim sznurze, że, nawet leżąc na ziemi, nie zdołał go napiąć, przypominała bardziej smycz niż szubienicę. Czuł gorycz w ustach. Bolała go głowa i miał żal do siebie. Powoli wstał i spojrzał w górę. Sprawy trzeba uładzić. Żonie można wybaczyć, trzeba znaleźć nową pracę, przecież to nie takie trudne – nowa firma, nowy szyld, jakby nowe życie. Słońce padające na twarz sprawiało mu coraz większą przyjemność. Wiał lekki wiatr, a przez jasne niebo przetaczały się chmury, jakby to nie było niebo tylko odpust, chmury, wata cukrowa. Anton Pietrowicz zaczął gwizdać i nawet tego nie zauważył. Zaśmiał się głośno – wiedział już, że dziś będzie szczęśliwy. Nieufność do procesów i procedur, ta nieadekwatność wyobraźni, wreszcie udało się skorygować jego odwieczny błąd. „Tak, tak, życie przeżyć, to nie przejść przez pole, kto tak powiedział – myślał – skąd znam to zdanie, tfu, koniec z tym, koniec". Teraz pozostaje mu tylko zacząć traktować swoje życie zupełnie poważnie – ot, co za problem dla poważnego człowieka?

Szedł szybko i zaśmiał się, kiedy pomyślał, że jeszcze wczoraj wchodził na maskę samochodu, żeby... no tak, to śmieszne. Smarował sznur mydłem. To powinien być jedwabny sznur, a nie taki na pranie, mój Stawroginku, mówił do siebie. Czuł jak zaczyna nim wstrząsać zdrowy rześki śmiech. Już wiedział, co musi zrobić. Już zaczynał wierzyć we wszystko od nowa. Przecież można, jeśli tylko starczy na to czasu, przecież da się.

Spokojnie szedł poboczem w kierunku miasta, coraz lepiej rozumiejąc, że przecież wrócić trzeba, że od dawna nie ma już wyjścia.

Koniec

Ostatni rejs

„Upomnę się też u człowieka
o życie człowieka i u każdego – o życie brata."

Księga rodzaju 9,5

Wiatr

Od dawna zapowiadano taką pogodę. W nocy wiatr wył opętańczo, jakby chciał przewrócić wszystko, co stanie mu na drodze, wyrównać wszystkie różnice. Helenę ten ciągły świst i hałas napełnił niesamowitym wprost lękiem, jakby miało się zmienić wszystko, co rano zobaczymy na ziemi, jakby ten wiatr miał coś odmienić w idealnie spokojnej krainie naszego zamieszkania. Rano, około piątej, kiedy ona już spała, usłyszałem huk. Pomyślałem, że zarwał się balkon. Helena leżała tymczasem ciasno do mnie przytulona i zdawało się, że nic nie słyszy. Nie chciałem jej budzić, zawsze szanuję sen kobiecy. Nie wyjrzałem wtedy za okno i dopiero kiedy około siódmej rano wstawałem, przypomniał mi się ten dźwięk i jej nocny strach i wyjrzałem przez okno. Pod drzewami było trochę połamanych gałęzi i świat wydawał się rozkosznie rozczochrany i pozbawiony porządku, poza tym nic się nie zmieniło.

W drodze na przystanek, kiedy starałem się tupaniem obudzić ten zaspany świat – niemal wpadłem na ogromnej wielkości drewniany słup. Leżał pod ścianą bloku, częściowo wbity w ziemię, strzaskany. Poczułem się jak na pirackim statku,

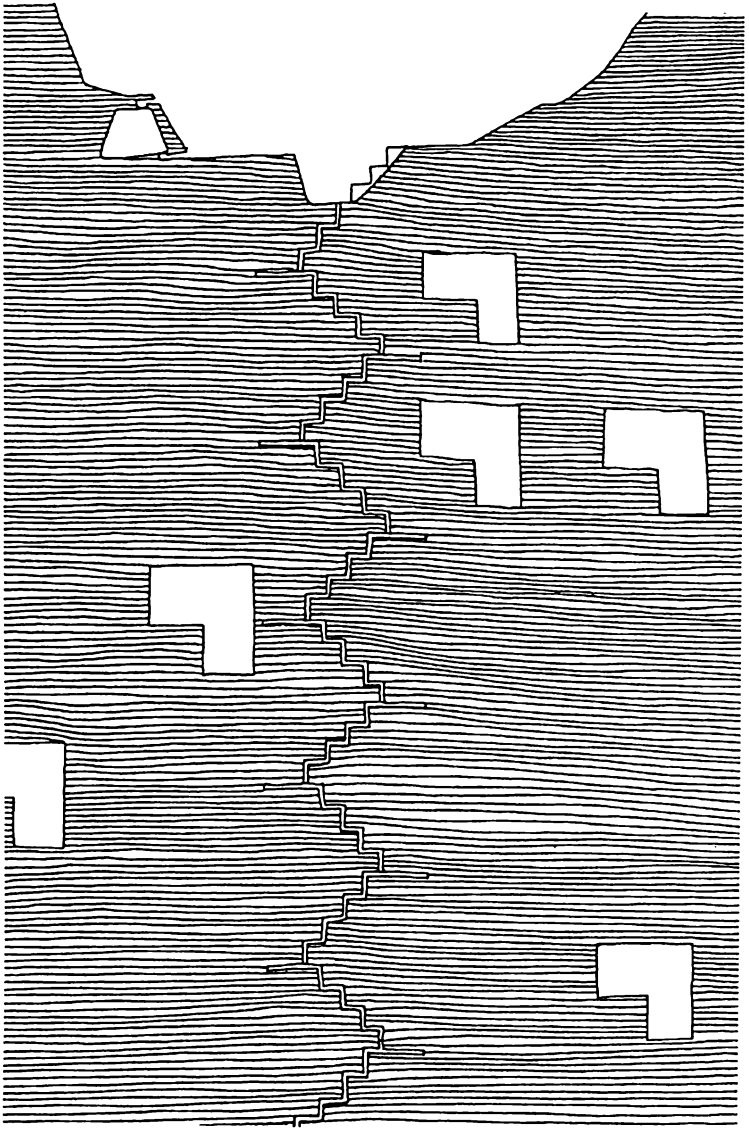

kiedy pocisk przestrzeli burtę – wokół było mnóstwo ogromnej wielkości drzazg. Co mogło strzaskać taki kawał drewna? Może upadek z wysoka? Zdarzenie byłoby zupełnie nieprawdopodobne, ale sama idea kusząca. Pomyślałem, że przecież ktoś mógł zginąć. Z drugiej strony, dlaczego ten kawał drewna miałby spadać z dachu? To znaczyłoby, że ktoś wcześniej musiał go tam zanieść, prawda? O nie, nie, to wszystko jest tak niewiarygodne, że ja z pewnością w to nie uwierzę, ja tylko idę do pracy i nie pozwolę, żeby kawał drewna mnie niepokoił.

Dopiero kiedy wracałem do domu, przystanąłem i przyjrzałem się dokładniej porannemu absurdowi: tak, przed moim blokiem był kilkumetrowej długości drewniany słup, który wyglądał jakby spadł z wysoka. I rzeczywiście mógł kogoś zabić. Do tej pory nikt nie uprzątnął go ani nie ukradł, wzbudził za to zainteresowanie kilkorga dzieci. Słup złożony był, jak się zdawało, z kilku fragmentów: pionowego i poziomych, które wcześniej mogły tworzyć coś jakby maszt na starym statku lub ogromną antenę. Nie słyszałem jednak o tym, żeby stosowano drewniane anteny, a do tego jeszcze wokół plątał się jakiś zwój lin. Bez wątpienia, w zupełnie przyzwoitej okolicy, przed blokiem leżał maszt, a nikt nie podjął „odpowiednich kroków". Boże, jak w porządnym bloku, w cywilizowanym mieście wielki drewniany maszt może spadać z dachu, dokładnie tak, jakby to miało jakiś sens! Poszedłem do domu naprawdę wzburzony.

Od progu przywitał mnie zapach obiadu, a to zawsze łagodzi nieco emocje. Zdjąłem płaszcz, buty, umyłem ręce i usiadłem do stołu.

– Kochanie, widziałaś to, co leży przed blokiem? – spytałem.

– Co konkretnie? – padła odpowiedź znad garnka (dziś była jej kolej na gotowanie).

– W drodze na przystanek, na trawniku, niedaleko placu zabaw, leży wielki drewniany słup.

– Leży. Pewnie ktoś ukradł na opał, ale nie zdołał donieść, gdzie chciał.

– A nie uważasz, że ma to związek z tym hałasem w nocy, z tym hukiem?

– Z jakim? – odwróciła się wyraźnie zaniepokojona.

– Z tym hukiem nad ranem. Jakby coś spadło...

– Myślisz, że ta sterta drewna spadła z dachu, tak? – zapytała Hela z figlarnym uśmiechem, wyraźnie rozluźniona – już się bałam, że masz z tym coś wspólnego.

– Nie mam... tym razem nie mam z tym nic wspólnego, tylko trochę mnie to wszystko niepokoi.

– Michałku, nie żartuj, kto miałby coś takiego wnosić na dach i po co. A ten hałas? Rzadko to się zdarza usłyszeć taki huk?

Może Helena miała rację, jak w większości przypadków, kiedy ja już wierzę w interwencję mocy nadprzyrodzonych, a ona wyjaśnia cud natury metodami zdrowego rozsądku, dokonując najbardziej przerażającego przełomu myślowego w dziejach człowieka. Na przykład ja, widząc, jak dziecko sąsiada przykleja sobie do czoła drobne monety, już wierzę w jego nadzwyczajne magnetyczne zdolności i już wyciągam z portfela te kilka złotych, o które prosi (bo inaczej siłą woli popsuje nam telewizor), Helena natomiast spokojnie potrafi walnąć biedaka w potylicę, tak że monety odpadną, a magiczne zdolności przeminą natychmiast.

Być może rzeczywiście ktoś ukradł jakiś kawał drewna, skądś tam, a potem coś się stało takiego, że tutaj jest teraz ten słup. O, to to: coś się stało, że teraz jest jak jest i nie ma co wchodzić w szczegóły. Wszystko jest przecież możliwe, wszystko, czyli co?

Następnego dnia sterta drewna przed blokiem zmniejszyła się nieznacznie, ktoś tylko zabrał mniejsze kawałki i porozciągał po trawniku, za to liny zniknęły. Odszedłem trochę od bloku i przyjrzałem się dokładnie dachowi. Rzeczywiście jedna z dwóch ogromnych anten, które pojawiły się niedawno, zniknęła. Jakby na przykład stanąć pod blokiem, a taki maszt stanąłby na środ-

ku dachu, to z dołu nie widać byłoby nic albo tylko końcówkę. W moim umyśle nagle pojawiła się wizja jak podczas tej wichury, w opętańczym świście burzy, kiedy deszcz chluszcze w okna wiadrami wody, blok powolutku zaczyna odrywać się od suchej ziemi, przechyla się lekko to na jedną, to na drugą stronę, przez co nie tylko talerze wypadają z półek, ale także meble zaczynają się przesuwać i z godnością na jaką stać dziesięciopiętrowy budynek, powoli odpływa... Tym razem nie mogłem się powstrzymać, musiałem powiedzieć o tym komuś jeszcze, skuszony urzędową spowiedzią poszedłem do administracji.

Było tuż przed szesnastą i zaraz kończyli, ale udało mi się jeszcze zastać znajomego, który tam pracował. Wspiąłem się po brzydkich schodach, dotarłem do nieprzyzwoicie szarego pomieszczenia. Przynajmniej nikt nie narzekał, że wspólne pieniądze idą na wygody urzędasów. Siedział tam Andrzej, kolega z liceum. Andrzej niedawno skończył studia, a posadę w administracji załatwiła mu matka.

– Witaj Andrzejku.

– A witam. W czym sprawa? – Andrzej widocznie spieszył się do domu.

– Widziałeś może tę stertę drewna, która od wczoraj leży na trawniku przed szóstką...

– Owszem, widziałem, a o co chodzi?

– W nocy słychać było straszny huk, nie skojarzyło ci się to jakoś z tym drewnem?

– Nie, huk kojarzył mi się raczej z samobójcą, ale to z ciekawości sprawdziliśmy, żadnego samobójcy nie było. A drewna nie sprzątnęliśmy, nie ma obowiązku, tymczasem to nikomu nie szkodzi, a za parę dni samo zniknie. Nie rozumiem skąd pomysł, że coś takiego mogło spaść z góry i po co właściwie pytasz o taką głupotę – Andrzej, stojąc, składał na biurku jakieś papiery, spojrzał na mnie spod oka.

– A przyglądałeś się dachowi budynku, pod którym leży to cudo? Na dachu postawiono ostatnio dwie anteny. Jedna zniknęła.

– Nie wiem nic o żadnych antenach – zmarszczył się Andrzej – a to znaczy, że nie ma tam żadnych anten.

– Ale są, sam dziś widziałem.

– Michał, czy ty się dobrze czujesz?

– Tak, tak...! Chodź, pokażę ci, sam zobaczysz – znajomy patrzył na mnie, jakby już dawno spodziewał się mojego szaleństwa. – Wiesz, zawsze uważałem, że mężczyzna powinien wiedzieć, kiedy wziąć urlop, nieco się rozluźnić, więc może to tylko...

– Pójdziesz ze mną i sam się przekonasz, ok?

– No dobra, skoro trzeba...

Andrzej nadal nie dowierzał. Jednak kiedy odeszliśmy na odpowiednią odległość, pozostały maszt antenowy widać było jak na dłoni. Spod naszego bloku nie można było nic dostrzec, z dużej odległości i z tego miejsca mało który z mieszkańców przyglądał się dachowi, a ludzi którzy u nas nie mieszkali, nic nie obchodziło, co też mamy na dachu.

– Hm, hm – zamruczał Andrzej – może mieli na to pozwolenie, a ja nic o tym nie wiem. Dowiem się, o co chodzi, ale nie wydaje mi się, żeby było w tej sprawie coś interesującego. Chociaż z tymi antenami to rzeczywiście dziwna rzecz. No, na razie, miłego popołudnia.

Wziął teczkę i poszedł sobie. Spieszył się pewnie do nintendo. Ja miałem przeczucie, że dzieje się coś, co nachalnie przykuwa do siebie uwagę, co może już się nie powtórzy i być może, jest dla mnie bardzo ważne... na wszelki wypadek postanowiłem o tym nie myśleć.

Stukanie

Kiedy w sobotę rano wychodziłem z mieszkania, zobaczyłem jak dwóch robotników wnosi po schodach poskładaną drabinę – była na tyle długa, że nie mieściła się w windzie. Nad lenistwem zwyciężyła ciekawość i zamiast pojechać na parter, wcisnąłem w windzie numer dziesięć. Kiedy wysiadłem z windy, zaskoczyło mnie nieustanne szuranie, które dało się słyszeć zza ściany. Po chwili przestałem zwracać na nie uwagę. Po jakimś czasie pojawiło się dwóch ludzi z drabiną, wziąłem klucze i udawałem, że mocuje się z zamkiem drzwi pustostanu. Tak jak myślałem, panowie, stękając głośno, rozłożyli drabinę i przystawili ją do włazu na dach. Jeden trzymał ją u dołu, drugi wspinał się mozolnie do góry. Po chwili na dziesiątym zatrzymała się winda i wysiadł z niej Andrzej. Podszedłem do niego i podałem mu rękę, choć był wyraźnie niezadowolony z mojej obecności.

– Witam Andrzejku. Więc jednak nie było pozwolenia na te anteny?

– Nie było. A czemu tak się tym interesujesz?

– To chyba żadna tajemnica, co? Bo jeśli antena spada z dachu, to znaczy, że mogła spaść na kogoś, w następstwie czego delikwent umiera, a to powinno mnie interesować, bo może mnie dotyczyć.

– A niby dlaczego?

– A jeśli spadnie następna?

– Nie będzie żadnej następnej anteny. Zresztą zaraz przekonamy się o co w tym chodzi.

Pierwszy z robotników dotarł już na szczyt drabiny i właśnie mocował się z włazem na dach. Ewidentnie sprawiało mu to wiele wysiłku. W końcu stwierdził:

– Nie da się, kurwa, no nie da – i zziajany zszedł na dół.

Drugi zaproponował, że on spróbuje, ale po niedługim czasie również zrezygnował. Właz, który otwierał się do góry, wyraźnie był zablokowany albo czymś przygnieciony.

– I co? – spytał wyraźnie zaniepokojony Andrzej.

– Nic, kierowniku, nic z tego nie będzie – odpowiedział jeden z robotników.

– Jak to nic, nie da się otworzyć?

– No przecież pan widział. My nie poradzimy, co Piotrek?

– Choćby uj na uju stanął – powiedział Piotrek, kurtuazyjnie omijając literki.

– Co to za klucze masz? – zapytał niecierpliwie Andrzej

– A, do swojego mieszkania.

– No, to po co grzebiesz w zamku, skoro tu nie mieszkasz?

– Dla niepoznaki.

Andrzej przez chwilę próbował jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu machnął tylko ręką. Z mieszkania obok dochodziły wciąż niepokojące odgłosy stukania i piłowania.

– O co tu chodzi? Ktoś celowo zastawił czy jak? Przecież tak nie można. Ja go dorwę, ja się z nim policzę, karę zaserwuję.

Zdenerwowany zapukał do pierwszych z brzegu drzwi, numer 155. Nikt nie odpowiadał. Andrzej walił jakiś czas, w końcu dał za wygraną. Z mieszkania obok wyjrzał starszy jegomość zaniepokojony hałasem.

– Dzień dobry – Andrzej starał się być uprzejmy.

– Dzień dobry. A co panowie tak walą do tych drzwi? Przecież widać, że nikogo nie ma.

– Jak nikogo nie ma, to kto tak piłuje?

– A kto pyta i to jeszcze takim tonem?

– Przepraszam, że niepokoję, ja z administracji – powiedział nieco speszony Andrzej – Przed chwilą próbowaliśmy wejść na dach, ale wszystkie wejścia są zablokowane. Nie wie pan, kto mógł to zrobić?

– Z administracji, no tak... Nie wiem co z dachem. Kogo to obchodzi, co jest na dachu? Klatka schodowa od lat wymaga malowania, a to nikogo nie interesuje, może byście to w końcu załatwili?

– Tak, tak.. A stukanie, piłowanie?

– Nawiedzone.

– Słucham?

– Mieszkanie jest nawiedzone, słyszy pan przecież.

– Przez duchy?

– Co pan w duchy wierzysz?

– Panie... – Andrzej spojrzał na mnie pytająco, bo stałem w pozycji, z której mogłem widzieć wizytówkę na drzwiach.

– Panie... – spojrzałem szybko na drzwi, ale wolałem poczekać z odpowiedzią, uśmiechając się zachęcająco.

– Kwasigroch – odwrócił się i ochoczo uścisnął mi rękę, jakbyśmy obaj należeli do klubu głupich nazwisk (co dało mi niejaką satysfakcję, ale nie taką, żebym się od razu zgodził na zmianę nazwiska).

– Panie Kwasigroch – kontynuował Andrzej – ja tylko próbuję się dowiedzieć, co tu się dzieje.

– Wnuki pan ma? – spytałem.

– A co to pana..?

– Bo jak pan ma i one się bawią przed blokiem, a potem na pana słodkie wnusiątko spadnie tona drewna, to jak się pan będzie czuł?

– Co spadnie, co od razu spadnie na mojego wnuka?

– Ja tylko panu mówię, że sprawa dotyczy nas wszystkich.

– Czy chodzi o obywatelski obowiązek?

– Coś w tym rodzaju.

– To odwal się pan, bo ja takiego wciskania kitu mam po dziurki w nosie.

– Tak, tak – mruknął pod nosem Andrzej. Pożegnał się ze starszawym jegomościem, odprawił robotników, podciągnął spodnie i spojrzał bojowo wokół.

Andrzej wszedł na wojenną ścieżkę. Z początku nie chciał się zgodzić na moje towarzystwo, ale w końcu przystał na to, żebym poszedł z nim, najwyraźniej uznał, że nie zaszkodzę. Potem obdzwonił wszystkie mieszkania na piętrze i zastukał do każdych drzwi piętro niżej, zadając to samo pytanie: Czy nikt do cholery nie wie, co się dzieje na dachu? I co to za stukania? Uparł się, jak widać, i postanowił rozwiązać sprawę na miejscu. Przedstawiam krótki raport na temat wyników jego badań:

– kaloryfery ciekną albo są zapowietrzone, woda ciągle nie spływa w wannie, a konserwatora nie widać, więc za co oni płacą;

– ludzie nic nie wiedzą o dachu i na nim nie bywają;

– pan spod stopięćdziesiątkipiątki odkąd się wprowadził, ciągle robi remonty i zwozi do mieszkania tony materiałów, głównie drewna, a poza tym to nikt go nie zna, bo to, z przeproszeniem, przyjezdny;

– trzy koty starszej pani z dziewiątego piętra strasznie śmierdzą, miauczą i mają się wyśmienicie;

– dwa mieszkania z dziewiątego piętra ostatnio po burzy podtopiło, nawet nie chcą sobie wyobrażać, co się dzieje na dziesiątym. Kiedy wreszcie zrobią coś z tym dachem?

– pan Dudzicz junior mimo zakazu gra na trąbce pobudkę po godzinie 22,;

– o sobie dowiedział się, że jest kłamcą i złodziejem, jako pomniejszy przedstawiciel władzy;

– pewnych państwa z ósmego piętra niepokoją te anteny, ale to sprawa administracji i też słyszeli w nocy jakiś hałas;

– pan Dudzicz poskarżył się na niski poziom bezpieczeństwa w bloku, bo w wyniku włamania z mieszkania zginęła, jakże cenna dla syna, trąbka;

– zaproszono go na wódeczkę.

Wbrew moim oczekiwaniom zaproszenie przyjął. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że z uzyskanych informacji najistotniejsze są te o panu spod stopięćdziesiątkipiątki.

Pierwsza historia przy wódce: Opodatkować skurwysyństwo

Siedliśmy sobie w dużym pokoju u mnie w mieszkaniu i zaczęliśmy się rozkoszować zestawem do alkoholowej relaksacji, na który składają się:

0,7 litra dobrze zmrożonej wódki,
smalec domowej roboty,
kiszone ogórki,
chlebek,
mielona ostra papryka,
pieprz czarny mielony,
dwa kieliszki,
stolik,
talerz.

Na stoliku położyliśmy kieliszki i talerz, na talerzu chleb, na chlebie smalec, na smalcu ogórki, a wszystko przyprószyłem papryką i pieprzem, do kieliszków rozlałem wódkę białą o smaku doskonałym. Helena, która nie przepada za wódką, a pijacka filozofia powoduje, że na jej twarzy pojawia się przykry dla widza wyraz wyższości, po prostu sobie poszła. Stwierdziła jeszcze bezczelnie, że wróci koło drugiej, bo jeśli znów będę biegał po klatce schodowej całkiem nagi, to chce popatrzeć. Ja się bardzo oburzyłem, bo przecież tej pamiętnej nocy byłem w kapciach, a nie całkiem goły!

Instrukcja obsługi alkoholowego zestawu wypoczynkowego, jeśli relaksujemy się z przypadkiem spotkanym znajomym bez kobiet w okolicy, wygląda następująco: po wstępnym okresie onieśmielenia, należy skierować rozmowę na kobiece wdzięki, piłkę nożną, niedzielne wycieczki, lub – jeśli ktoś ma ochotę ryzykować – na tematy polityczne. Po około półtorej godziny rozmowy przychodzi czas na koszarowe dowcipy i historie z życia wzięte. Pod żadnym pozorem nie należy uciekać się do filozoficznego exemplum, bo skutki tego mogą być następujące:

– Wyobraź sobie Andrzeju taką sytuację: leżymy sobie z Helą pod namiotem, lato, świerszcze grają, cykady cykają, gwiazdy błyskają a jednak pogoda chujowa. Nagle straszny rwetes koło namiotu, stukipuki, szelesty. I wiesz co to było?

– Leśniczy?

– A gdzie tam! Bóbr. I nagle bóbr rozpina zamek namiotu i wskakuje Heli do śpiworka.

– Ej, Michał, co wyście palili w tym lesie?

– Ognisko. No i słuchaj, wyjmuje z torby browarka, odbezpiecza i zaczyna pić, my na niego, on na nas... I on mówi tak: „Co się gapicie? Że jestem niski i włochaty, to nie mogę się z wami napić?". A myśmy pokiwali głowami, że ma bóbr rację. To się, bracie, nazywa tolerancja.

– No tak, ale miałeś podać receptę na naprawę państwa.

– A tak, więc naszą narodową tragedią jest skurwysyństwo i cwaniactwo. Wyobraź sobie nagle, że wszystkie bezwstydne cwaniaki zaczynają nagle na swoich szwindlach tracić, od każdego szwindla 80% podatku, a jak i tak zarabiają, to domiar, załatwiasz upośledzonemu kuzynowi robotę w urzędzie, jeb dostajesz 80% jego roboty, dalej łapówę dajesz wójtowi, OK nie ma problemu, ale 80% łapówy na budowę dróg itd. Znaczy nie biznesmeni uczciwi, tylko chamy i nieroby wycwanione, co zdobywają stołki po tacie albo jeszcze nie daj Bóg... w każdym razie trzeba opodatkować skurwysyństwo.

Tak oto przedstawiłem swoją receptę naprawy państwa, choć, mówiąc szczerze, miałem na myśli coś całkiem innego niż powiedziałem. Trudno. W następstwie tej dyskusji Andrzej popadł w irytację, a ja w nastrój grozy. Potem pogadaliśmy jeszcze o czymś mało istotnym i umówiliśmy się, że jutro po pracy wznowimy śledztwo.

Kiedy rano szedłem do pracy przeklinałem chwilę, kiedy gdzieś na strychu lub w mrocznej piwnicy, pierwszy Polak dokonał pierwszej fermentacji.

Donos

Wieczorem do moich drzwi zapukał staruszek z dziesiątego piętra, był nieco spięty. Otworzyła mu Helena w zielonym szlafroku, falując na niego bujnym biustem i obdzielając go powłóczystym spojrzeniem. Moja dziewczynka. Kiedy zjawiłem się w drzwiach, facet zdjął z głowy kaszkiet, wpatrywał się w wycieraczkę i mamrotał pod nosem coś pomiędzy przywitaniem i egzorcyzmem. Helena ma długie rude włosy i kobiece kształty, lubię, kiedy otwiera drzwi nieznajomym. Pan spojrzał na mnie przerażony i powiedział, że ma sprawę. Czułem się jakbym odbierał donos. Chodzi o pana Szuruburu, sąsiada, o którego pytaliśmy wczoraj. Otóż okazuje się, że pan Słowik (sąsiad, tego sąsiada co właśnie przyszedł), mieszka pod 155., ale również pod numerem 156. Zaprosiłem Kwasigrocha do środka.

– Jak to, przecież 156. to pustostan? – zdziwiłem się.

– Nie, proszę pana, oba mieszkania są Słowika (pan Szuruburu), tylko jedno miało być dla syna, ale syn przed rokiem zdecydował, że woli pod Warszawą, no... tego, od tego czasu zaczęło się dziwnie. Ciągły remont, ciągłe szurania, stukanie, wiercenie. Kiedyś odwiedzałem Słowika, potem przestał mnie wpuszczać.

Zwoził tylko do domu coraz więcej materiału, pomyślałem, oszalał. Kiedyś ukradkiem zobaczyłem w jego szufladzie dziwne rysunki – to był przekrój.

– Przekrój czego?

– Brygantyny.

– Czyli czego?

– Żaglowca!

– Pan żartuje?

– Nie! Myślałem, że to dla wnuka, żeby robić kartonowe modele, bo tego było mnóstwo, jachty, statki, ogromne skale, wyliczenia, myślałem, że to dla syna, remont, pokój w stylu marynarskim, ale nie... od tego czasu przestał mnie wpuszczać do siebie.

– A hałasuje cały czas?

– Głównie w dzień, żeby się nikt nie czepiał. Maszty wciągał nocą.

– Na dach?

– Tak, na dach.

– Czyli twierdzi pan, że ten człowiek buduje sobie w salonie statek? – spytała spokojnie Helena.

– Tak.

– He he, ale ma chłopak fantazję!

Odprowadziliśmy z Heleną sąsiada na dziesiąte piętro, podziękowaliśmy mu. Miał nieco skruszoną minę, jakby czuł się winny. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Helena przyłożyła ucho do drzwi mieszkania 155 i słuchaliśmy odgłosów z tego warsztatu stolarskiego na ostatnim piętrze bloku z wielkiej płyty. Czekaliśmy aż zapadnie cisza. Podawaliśmy z ust do ust flaszkę wina i jointa i ściskaliśmy sobie gorączkowo ręce, jakby coś miało się skończyć i zdawało się, że odnaleźliśmy to, czego szukaliśmy od dawna, że świat odzyskał wszystkie utracone dawno barwy i wymiary, że życie, które latami leżało w barłogu naszego zadowolenia, poruszyło się jak niespokojne zwierzę, jednak w końcu skończył się joint i trzeba było wracać do mieszkania.

Wieści ze śmietnika

Rano, przed wyjściem do pracy, usłyszałem pukanie do drzwi. Otworzyłem w towarzystwie porannego drąga. Poranny drąg jest pięknym zjawiskiem przyrody, przez niektórych znawców zwany także świtańcem, a wygląda tak: przypływ jakichś hormonów wywołany snem powoduje silne ukrwienie ciał jamistych; według innych źródeł ta reakcja jest wywołana przez wypełniony pęcherz moczowy, który nie pozwala krwi krążyć właściwie, każda z wersji jest na tyle wiarygodna, że mógłby ją wypowiedzieć doktor House, w każdym razie coś się dzieje w moim organizmie, co powoduje, że aż do wyjścia z autobusu mam poranny wzwód, czyli świtańca, więc staram się stawać raczej w kąciku, żeby nie dostać w gębę od współpasażerki, która stanie zbyt blisko i będzie miała o sobie zbyt wysokie mniemanie. A potem do szesnastej praca, a w pracy nudno.

W każdym razie otworzyłem, otuliwszy się ciasno szlafrokiem, na progu stał Andrzej, w oczach miał pożar.

– Cześć Michał, spotkałem wczoraj śmieciarzy, byłem u ciebie, ale cię nie było...

– I co?

– Pytałem, czy nie zauważyli czegoś dziwnego w śmieciach, czegokolwiek. Ponoć w ostatnim okresie kontener był na tyle ciężki, że maszyna z trudem radziła sobie z podnoszeniem. Na wysypisku widzieli wielkie kawałki gruzu wysypujące się z kontenera – Cholera, co to znaczy? Koleś burzy ściany?

– Chyba sufit burzy, inaczej statek by mu się nie zmieścił.

– Jaki statek?

– Wczoraj był pan sąsiad spod 154., miał coś do powiedzenia na temat Szuruburu – odwróciłem się i wszedłem do mieszkania. Wychodząca z łazienki Helena, już porzuciła poranne rozczochranie i przykuła na chwilę wzrok Andrzeja.

– To co mówiłeś? – spytałem złośliwie.

– Nie... nie wiem. Aha, ty mówiłeś, statek!

– Tak, pan Kwasigroch spod 154. wie coś o hałasach tworzonych przez pana spod 155. i 156., przez ciągłe hałasy zwanego panem Szuruburu...

– Do rzeczy!

– Ten pan Kwasigroch u pana Szuruburu znalazł rysunki używane ponoć przy konstrukcji statków, plany, przekroje.

– I myślisz, że on tam buduje statek? Postanowił zostać żeglarzem, kupił deski i zaczął budować statek w mieszkaniu na dziesiątym piętrze?

– No, chyba tak. To by w każdym razie wszystko wyjaśniało.

– Przecież to nie ma sensu!

– A maszt spadający z dachu to niby ma jakiś sens?

– Ja nic już nie rozumiem. Jak facet chciał zamieszkać na jachcie, to chyba są lepsze sposoby, no nie?

– Muszę lecieć do roboty – spojrzałem z niepokojem na zegarek – chodź ze mną, nie zostawię cię tu samego z Heleną.

– Michał, a nie możesz się trochę spóźnić do tej pracy?

– Zawsze staram się spóźnić tylko trochę.

– Wiesz, bo właściwie moglibyśmy iść na śmietnik. Może brzmi to głupio, ale chodźmy popatrzeć, może znajdziemy tam coś jeszcze.

Zeszliśmy przed blok, Andrzej otworzył drzwi do zsypu, mamy śmietnik zamykany na klucz, żeby nikt nam naszych śmieci nie ukradł. Tak naprawdę chodzi o podrzucanie gabarytów i nie chodzi tu o podrzucanie do góry przypadkowo spotkanych grubasków, ale o stare wersalki. Andrzej podszedł do kontenera i otworzył pokrywę.

– Podsadź mnie – powiedział. Splotłem dłonie w koszyczek i podsadziłem go tak, że mógł zajrzeć z góry do kontenera, przyjrzeć się śmieciom.

– Widzisz tam coś ciekawego?

– Śmieci.

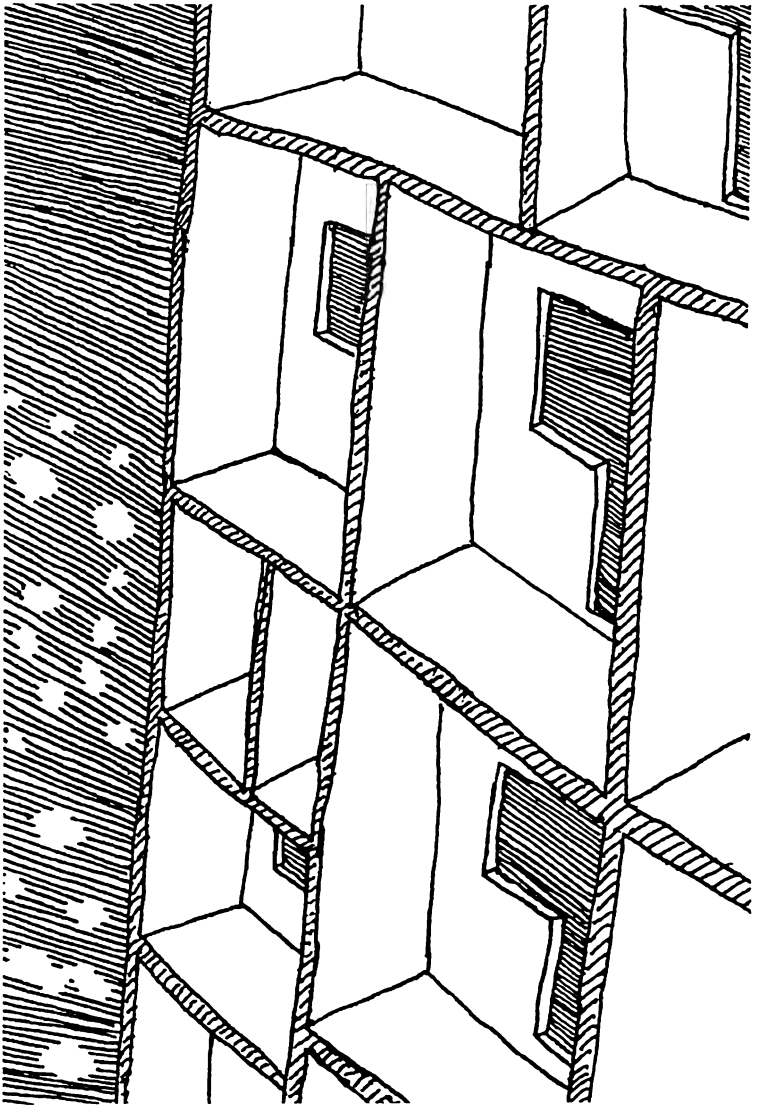

– No to mnie zaskoczyłeś.

– Poczekaj kijem pogrzebię – i po chwili znalazł jakaś deskę, znów musiałem go podsadzać, a on sobie grzebał.

Andrzej zamruczał pod nosem jakieś przekleństwo i nagle stały się trzy rzeczy naraz – ja obróciłem się, czując na sobie czyjś wzrok i zobaczyłem piękną sąsiadkę z szóstego piętra, której wiatr podwiewał sukienkę i ręce mi opadły. Andrzej, nie mogąc sobie poradzić z grawitacją bez mojej pomocy, spadł z kontenera, spojrzał na sąsiadkę żelaznym wzrokiem urzędnika i ruszył w jej kierunku. Ona już nabierała powietrza, żeby krzyczeć, ale on silną choć pulchną dłonią zakrył jej usta i powiedział:

– Cicho. Bawimy się w czołg.

Bałem się, że od tego momentu nikt nie weźmie nas na poważnie. Pojechałem do pracy, a w autobusie czułem jak rośnie mi na głowie wielki guz.

Dupostrada do nieba

Pracuję w firmie, która zajmuje się produkcją pornografii[1] i nie jest to praca ani lepsza, ani gorsza od innej, Helena na przykład pracuje w księgowości i jej praca nie jest od mojej ani trochę ciekawsza. My każdy element świata potrafimy sprowadzić do jednego ogólnego równania, którego wynikiem jest zawsze ruchanko. W ten oto sposób tworzymy na użytek tirowców ogólną teorię wszystkiego, co jednak nie znajduje uznania w środowisku naukowym. Wszystko można sprowadzić do jednej waluty, słaba moneta wypiera dobrą i cały świat da się rozmienić na drobne.

[1] Firma, o której piszę jest zmyślona, jak również ja jestem i wszystko wokół, literatura bowiem jako taka ma charakter fikcyjny.

„Konan Bara-Bara", „Draka w Chińskiej Dziewicy", „Obi sam se zrobi", „Gwiezdne Vaginy", „Alicja w Krainie Seksu" (tak, w tym filmie Alicję dyma biały królik), „Papaj i seks" (jeden z bohaterów nazywa się Papaj a drugi Żelazny Chuj), „Skazani na seks" – nie trzeba zbyt wiele wysiłku, żeby zamienić świat w mityczne siedlisko bogów i ludzi, uporządkowane przez potrzebę codziennej masturbacji.

Trzeba przyznać, że moja praca jest odpowiedzialna, do redakcji regularnie przychodzą bowiem listy, na które odpowiada redaktorka Marynia. Z początku, kiedy na moim biurku pojawiały się listy adresowane do Maryni, nie miałem odwagi ich otwierać, to musi być odważna kobieta, myślałem. W końcu dowiedziałem się jednak, że to ja jestem Marynia, a odpowiadanie na listy należy do moich obowiązków.

Do Maryni raz w tygodniu przychodzi list z serduszkiem i dedykacją oraz napisem ILOVIU. Każdy z tych listów jest pisany ręcznie na kilkunastu stronach wyrwanych z zeszytu w kratkę. Listy w całości napisane są takim językiem, jakim zwracamy się do czytelnika (mam bowiem boską moc nazywania rzeczy po imieniu). Serduszka są najczęściej rysowane długopisem, choć czasem to naklejki – zielony dowód miłości z napisem „Knorr". Wyrazy uwielbienia:

„Szanowna, śliczna pani Maryniu, całuję panią mocno od stóp paluszków aż po głowę. Kochana i droga sercu memu – pisze i załącza wycięte zdjęcie wypiętej damy swego serca, z podpisem, cipcia, cipuszka, cipunia, pizdeczka, cipuchna, cipciunia, szparka, CIPA – o cipce ślicznej, jasnoblond, oczach niebieskich, mleczno-różowoskóra, o pięknej cudownej cud różyczce, cipeczce różanej extra sexy, proszę o więcej jeszcze pettingu, minetki, perwersji, oralu, analu w grupie oraz z twoim udziałem Maryniu, tu w liście wymienionej". Dalej następuje cały spis wydawnictw, które ma i których brakuje, za które dziękuje, filmów oraz zdań trudnych do odgadnięcia, oddzielonych od siebie robionymi od linijki

kreskami. Na białej kartce gdzieniegdzie ślady tuszu, jakby pisał przez kalkę i zostawiał sobie własną kopię listów, na wszelki wypadek, jakby któryś zaginął w drodze, a gdzieniegdzie rysował znak oznaczający waginę.

Liczby, daty, brzydkie słowa. Czułe słowa. Żegnaj cipciu.

Taki świat stworzyliśmy na potrzeby samotnych onanistów, nie wierząc, że można w nim zamieszkać. Jednak czasem przychodzi z niego odpowiedź żywego człowieka i wtedy każdy z nas czuje się jak doktor Frankenstein.

Pewnego dnia do drzwi redakcji zapukał elegancki starszy pan i oznajmił, że chciałby się zobaczyć z Marynią. Spokojnie i z godnością poczekał w pokoju konferencyjnym, mały czarny stolik, kilka krzeseł, białe ściany. Zamknięto za nim szczelnie drzwi i poproszono mnie. Staruszek ma 79 lat, około 800 złotych emerytury, które dzieli starannie: część wydaje na leki, część na konserwy saperskie z wojskowych zapasów i na czynsz w obskurnym mieszkaniu, reszta schodzi na nasze gazety. Co tydzień pisze listy do redaktorki Maryni, którą w swym sercu czule kocha. Zachciało mi się dotknąć tej jego pomarszczonej dłoni i sprawdzić, czy naprawdę istnieje.

On siedział z ufnym uśmiechem i czekał na spotkanie z Marynią, dla której, jak widać, nawet odprasował spodnie. Powiedziałem mu w końcu, że Marynia właśnie wyszła z biura, bo rano leci do Francji kręcić film i że wróci dopiero za tydzień. Z tym samym ufnym uśmiechem podziękował i wyszedł. Było mi go żal, ale o wiele bardziej zrobiło mi się go żal, kiedy tydzień później zobaczyłem jak znów czeka w tym samym brzydkim pokoju i niecierpliwie wygląda kogoś zza stołu. Pożyczył pieniądze na bilet do Warszawy i znów przyjechał. Nie było go stać na kolejny przyjazd, więc powiedziałem, że ma pecha, bo Marynia we Francji złapała grypę i nie przyjdzie dziś do pracy, ale specjalnie dla niego poproszę ją o autograf i wyślemy mu zdjęcie z podpi-

sem. Ucieszony wyszedł bez słowa, z tym samym co poprzednio uprzejmym uśmiechem.

Parę dni później znów na mnie czekał, już nie tak elegancki, trochę nieświeży, nieogolony, ale nadal spokojny, pełen oczekiwania. Unosił się od niego smrodek miłości. Zimą by nie przeżył, a i tak musiał spać na klatkach schodowych, prawie nie jadł, herbatę, którą podałem, pił łapczywie. Patrzyłem na niego z nieskrywanym współczuciem, w końcu poprosiłem go do redakcji. Tu siedzę i piszę, tu są archiwa zdjęć. Tu są odpowiedzi na listy czytelników, które piszę, a tu są jego listy i listy od czytelników, które wymyślam. Marynię wymyślił ktoś na długo przede mną, być może też z tęsknoty za idealną kobietą, w każdym razie ja nigdy nie spotkałem tej dziewczyny. Nie chciał wierzyć, drżały mu ręce i ciągle nie mógł się zgodzić na świat, w którym jego Laury nie ma. W końcu po prostu wyszedł. Pieniędzy na bilet powrotny nie wziął, przez tych kilka dni cały czas miał odłożone, dobrze schowane w bucie.

Tydzień później przyszedł do redakcji list od jego żony: „Przez ciebie, szmato, mój mąż się powiesił". Marynia zareagowała na to jak zwykle, kuszącym uśmiechem.

I to już wszystko, co można o nim powiedzieć.

I ja nie mam zbyt wiele do powiedzenia na temat mojej pracy, która po prostu jest, nie jest ani nieprzyjemna, ani fascynująca, pozwala mi się utrzymać bez wielkiego wysiłku i już. Nie próbuję jej ani zmieniać ani pokochać.

Pracuję w tej firmie trzy lata i nagle coś, co spadło z dachu i w ogóle nie powinno mnie dotyczyć, powoduje dziwny niepokój w kwestii mojego zatrudnienia, przypomina o czymś, o czym niemal już zapomniałem, jakby cholerny kawałek drewna miał do tego prawo. Ja, gdybym był kawałkiem drewna, nie miałbym tyle śmiałości. W pracy przyszedł mi do głowy pomysł: zawiadomić prasę – zaraz znajdą się odpowiednie służby, które poradzą sobie z problemem statku na dziesiątym piętrze, flesze, sensacja,

drzwi wyważą, wariata wywleką w kajdankach, kamery, show, i kiedy tylko sobie wyobraziłem, że ten człowiek i jego przedsięwzięcie miały tak się skończyć, stwierdziłem, że to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Chciałem tylko z nim porozmawiać, zobaczyć jego dzieło, które budziło we mnie dźwięk jakiejś zapomnianej struny, jakby w tym szaleństwie było coś, co przyciąga wzrok i myśli z niezwykłą siłą.

Śledztwo

Dziwne papiery znaleźliśmy z Andrzejem w skrzynce pocztowej pana Szuruburu. Rachunki. Upomnienia z biblioteki. Listy od syna. Wszystko skrupulatnie ukradliśmy i razem z Heleną w trójkę zaczęliśmy rozszyfrowywać tajemny alfabet jego codzienności. Rachunek za prąd. Spory. Pewnie, jak się ciągle tylko wierci, to co, płacić trzeba! Dalej upomnienie z biblioteki, pożyczał podręcznik żeglarza jachtowego i nie oddał. Jemu się bardziej przyda niż w bibliotece. Czułem się trochę jakbym publicznie oglądał brudne gacie proroka, ale naprawdę źle poczułem się, kiedy otworzyliśmy list od syna. „Tato, nie przeprowadzę się do ciebie, mam swój dom, który sam zbudowałem. Możemy cię odwiedzić, jeśli przestaniesz barykadować drzwi". Potem jeszcze kilka słów pocieszenia i prośba, żeby poddał się leczeniu. Prywatne listy pana, co się wybiera do nieba. Wypiliśmy po kieliszku andrzejówki. Andrzej bowiem robi nalewkę na miodzie, cytrynie i pieprzu i on jeden wie, dlaczego wychodzi z tego coś dobrego.

Niebo za oknem było granatowe i czułem się trochę jakbym coś tracił, choć chwila, którą stworzyliśmy, była piękna. Siedząc tam, pod tym niebem, z tą wódką na języku, z tym panem za stołem i z tą panią opodal, wydawało się, że natura

tkwi bez ruchu, nic się nie może zmienić, nawet drgnąć, dopóki my się nie poruszymy, dopóki z szuraniem krzeseł nie wstaniemy i wtedy ściany zrobione z wielkiej płyty po prostu się rozpadną, udając, że nigdy nie były potrzebne. Tymczasem siedzimy spokojnie, nie zdając sobie sprawy z mijania chwil, a Helena opowiadała wesoło o tym, jak ją w dawnych czasach uwiodłem, a było to tak:

Helena była niezdobyta jak częstochowska twierdza, chodź niejedną podciągano pod mury kolubrynę. Ja natomiast wziąłem sprawę na rozum, dowiedziałem się o niej kilku podstawowych informacji, między innymi, że daje korepetycje z hiszpańskiego i nie mając pojęcia o hiszpańskim zapisałem się na prywatną lekcję. Pech chciał, że tego samego dnia przyszło do mnie do akademika (wtedy jeszcze studiowałem dziennikarstwo) dwóch muszkieterów w towarzystwie kilku tanich ruskich szampanów. Ruskie zrobiły burdę – wot ja jewo w mordu, a on mienia na ziemliu. A więc spieramy się uparcie o szczegóły bitwy pod Waterloo, ja symuluję szarżę francuskiej kawalerii, koledzy strzelają do galopujących jeźdźców, płonie w żyłach procentów 10, nadciąga Wellington i choć wynik bitwy jeszcze niepewny, wiadomo już, że marszałkowie Napoleona nie mają tej świętej wiary w wodza, która wcześniej dawała im śmiałość i moc; wtem... godzina wybiła – pod Zygmuntem będzie czekać na mnie moja miłość. Panowie – idziemy z tobą, ja na to – o nie, nie, oni – a gdzie honor oddziału, kto rozciągnie nad tobą proporzec w tej bitwie? Po drodze kupimy szampany, a twoja pani napije się z nami... – O nie, panowie – mówię, a w głowie świta mi już napoleoński plan – zrobimy tak, wy pójdziecie po szampany, tymczasem ja przekonam Hiszpankę, żeby poszła z nami pić do parku, zamiast zajmować się nudnawą gramatyką, ale tak delikatnie, z początku o czym innym mówić będę, a was my oboje spotkamy niby przypadkiem. Oni – zgoda, zgoda, świetny plan, my do monopolu i za chwilkę

już się spotkamy – istotnie, skręcili do monopolu, ja natomiast pognałem pod kolumnę. Starałem się iść prosto i nie dać się porwać obrotom Ziemi, zobaczyłem rudowłosą piękność pod dumnym posągiem polskiego króla i pytam: – azaliż ty jesteś Helena? – Jam jest – odpowiedziała. Więc chodźmy stąd czym prędzej – i tak objawił się mój napoleoński geniusz, bo koledzy wpadli na Zamkowy 5 minut po nas, ale my, my już wtedy zatapialiśmy w sobie rozmarzony wzrok w kawiarni.

Siedzimy teraz bez ruchu pod tym dziurawym dachem, nie przyznając się do tego, że czegoś w naszym życiu po prostu nie ma, ja bałem się poruszyć i zniszczyć sytuację, w której możliwy był balans i równowaga, Helena paplała, Andrzej śmiał się i wszystko, co było wokół, różniło się od szczęścia tylko tym, że nim nie było – Ziemia tymczasem kręci się.

Niemniej jednak trzeba się zrelaksować, nie wiadomo bowiem, co będzie zaraz, za chwilę, a jutro to już absolutna abstrakcja. Kiedyś wydawało mi się, że w życiu trzeba czekać na tę jedną najważniejszą okazję, żeby wygrać lub przegrać wszystko, a teraz po prostu się luzuję. W związku z powyższym na wszelki wypadek podaję też przepis na alkoholową relaksację, kiedy w okolicy są damy.

Przepis na alkoholową relaksację, kiedy w okolicy są damy

Należy przygotować około litra przedniego alkoholu na trzy osoby, uwodzicielsko strzelać oczyma, zaczesać włosy palcyma, do pań przepijać, unikać żartów, które tylko chłopakom wydają się śmieszne, złagodzić nieco obyczaje. Zwróconych przypadkiem na podłogę treści nie należy rozmazywać butem, tylko za incydent elegancko przeprosić. Można śpiewać piosenki, ale unikać

wojskowych. Kanapeczki małe, posmarowane masłem ziołowym na przykład, z szynką, kanapeczek nie żreć – kanapeczki jeść. Alkohol raczej słodki, nie musi mieć wielkiej mocy, jako że kobieta jest ewolucyjnie przystosowana, żeby ją niedrogo upijać. Aby rozwiać wątpliwości co do głupich żartów, podaję przykładową sytuację i właściwy sposób zachowania: gdyby na przykład pani sięgnęła do lodówki po swobodnie leżącego na półce ogóreczka, należy uprzedzić: – Szanowna pani, to nie ogórek, to cytryna po przejściach. Czekanie na reakcję po dziewiczym kęsie jest nie na miejscu i nikogo na poziomie na pewno nie ubawi. Absolutnie unikać drinków typu domestos. Dla ścisłości podaje poniżej przepis na drinka domestos:

50 ml soku pomidorowego z chilli,

200 ml wódki.

Jeśli komuś przyjdzie do głowy zaproponować całowanie, trzeba to zrobić ostrożnie i z wyczuciem, nie walić od razu z Mickiewicza (sięgaj, gdzie wzrok nie sięga), ale pomału, pomału, zdobywać kolejne terytoria, dolewać alkohol niepostrzeżenie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Gdyby natomiast dla uciechy pań przyszło komuś do głowy zrewolucjonizować medycynę i pokonać dawkę śmiertelną kilkakrotnie, muszę ostrzec, że raczej nie znajdzie uznania.

Ale do rzeczy: z papierów pana Szuruburu nie dało się zbyt wiele wyczytać na temat jego osobowości. Zdaje się, że nie miał najlepszych układów z dziećmi. Wiemy od kiedy jest zamknięty na stałe w swoim mieszkaniu po najstarszej dacie na kopercie – potem nie sprawdzał poczty, bo jak? Kiedy czytałem list od syna, zrobiło mi się żal tego człowieka, zamkniętego w mieszkaniu wypełnionym drewnem i gruzem, który sam rozmontował nad sobą dach. Mógłby być Kolumbem. Ale nie jest i być może w ogóle nie ma mu czego zazdrościć. A my mamy zabawę jego kosztem, tak wygląda cała ta dziecinada, którą odstawiamy bez wiary w cokolwiek. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z pozostałymi i dzięki

temu być może usłyszałem drugą historię przy wódce. Chciałbym tylko ostrzec, że Andrzej, kiedy się rozgada daje się ponieść słowu i tworzy bajerę nieosiągalną dla nikogo innego, wchodzi na poziomy werbalnych uniesień, kruszy mury, rwie uszy, szaleje. Oto historia:

Druga historia przy wódce: czy ja jestem stróżem brata mego?

– Był sobie król, był sobie paź i była też królewna. Ponieważ świat nasz zmienia się, ról ich określić się nie da. W tym i bieda. Że się nie da – mówi Andrzej i spogląda wystraszony, bo się boi, że ktoś w końcu pojmie, że on pieprzy od rzeczy. – Azaliż, czy bowiem wypada, mnie zwykłemu urzędniczynie opowiadać... no to opowiem.

Było czterech braci: jeden był Głupi i dobry, drugi był silny i Chciwy i tego nie lubimy, trzeci był Piękny, a ostatni był Luźny. Luźny brat szybko opuścił dom ojca i poszedł zdobywać wykształcenie w zagranicznych lupanarach, rychło stracił wszystkie pieniądze i zaczął kupczyć czym popadnie. Głupi brat opiekował się starzejącym się ojcem, bo był przy okazji dobry i żal mu było staruszka. Piękny się pedalił, a Chciwy czekał na śmierć ojca, bo chrapkę miał na spadek.

W końcu ojciec zwołał synów i powiedział: „Chłopcy, kryska na mnie, kitę odwalam. Muszę sporządzić testament, ale nie chcę dzielić domu ani reszty majątku, dostanie wszystko tylko jeden z was, a pozostali jedynie ustawowe 15%". Zrazu bracia zaczęli na siebie spoglądać podejrzliwie, czy który nie ma noża w rękawie, no i mieli, akurat Chciwy miał.

W nocy zakradł się on do łoża Głupiego brata i go dźgnął, aż tamtemu pikawa stanęła. I byłby koniec, gdyby się nie obudził

Piękny brat z ciałem wyćwiczonym na fitnessie, między braćmi wywiązała się walka. Piękny wygrał i zaprowadził łotra przed oblicze ojca i powiedział – brata zabił, twój syn. Ojciec spojrzał srogo i powiedział: „Jeśli zabiłeś mego syna, możesz-li zaprawdę mnie miłować?". I wziął, i z pomocą Pięknego wyrzucili go na bruk przysłowiowy, a i tak bolało.

Wtedy Chciwy umyślił, że ojca nocą udusi. Tej samej nocy wrócił do domu Luźny, gdyż dowiedział się o chorobie rodzica. Usiadł u wezgłowia i głośno zapłakał, a płacząc zasnął i wytrzeźwiał. Nocą do łoża zakradł się Chciwy i ojca chciał kolnąć, ale się tata obudził, podniósł krzyk do góry i Luźny przywalił złemu. Chciwy jednak był silniejszy i tylko Piękny uratował Luźnego od zguby, ale sam zginął. Chwytacie to?

Ojciec zapisał Luźnemu cały majątek, ale pod warunkiem, że nie da Chciwemu bratu ani grosza złamanego, a Luźny tego samego jeszcze dnia wszystko przepił, przejadł i porozdawał komu popadnie, żeby zły brat nie miał mu czego zazdrościć, bo nie chciał, by bogactwo doprowadziło do kolejnego bratobójstwa. I wtedy Chciwy brat się rozpłakał i się powiesił, bo najbardziej na świecie bał się biedy.

Koniec historii – i co azaliż ja jestem stróżem brata mego?

Argumenty

Temu, co pewne, nie należy przeczyć, a jednak nie mogłem się zgodzić z morałem wypływającym z opowieści Andrzeja. To był tak naprawdę antymorał, zgorszyłem się. Dalej następowała bitwa na argumenty tak wulgarne, oczywiste i nieciekawe, że ja na pewno nie będę o tym pisał.

A teraz czas posunąć nieco akcję do przodu.

Domyślony

Po pracy nie poszedłem do domu, pojechałem na 10. piętro, słuchałem przez chwilę odgłosów pracy dobiegających gdzieś z oddali, z dachu albo zza ściany. Co bym zrobił, gdybym chciał zbudować statek w bloku? Najpierw zgromadziłbym materiały w mieszkaniu, udając remont, właśnie to zrobił pan Szurubu-ru. Sprawdziłem w internecie, jakiej wysokości powinien mieć burty ok. 10-metrowej długości stateczek (miał do dyspozycji dwa mieszkania), trzeba było przeliczyć skalę. Obliczyłem kąt, pod jakim byłoby go widać z dołu budynku. Z obliczeń wyszło, że musiał przebić się przez dach (co za szaleństwo!) i zaczynać konstrukcję na linii podłogi, żeby nie można było go dostrzec aż do postawienia masztów. Większe elementy ściągał bezpośrednio na dach, szybko, całą partię pod pozorem prac remontowych prowadzonych przez wspólnotę, myślałem, paląc papierosa na klatce między dziewiątym a dziesiątym piętrem. Jak to wszystko mogło się udać? Nikt nie uwierzył, że ktokolwiek odważyłby się na taką samowolkę, zresztą niby po co? Wygląda na to, że się udało.

Potem pod pozorem remontu po kawałku rozmontowywał dach nad swoim mieszkaniem, a gruz częściowo wrzucał do kontenera, przez zsyp, a częściowo wywoził na wózku... kogo interesuje, co złomiarz wiezie na wózku?

Nic dziwnego, że podtopiło dwa mieszkania na dziewiątym piętrze, ciekawe jak uszczelnił dziurę w dachu? Wszystkie elementy układały się w mojej głowie jak plan ucieczki z więzienia, tylko że nie było więzienia. A może o czymś nie wiem?

Założę się, że ma w mieszkaniu ogromny zapas żywności, może nauczył się polować na ptaki... W środku miasta na dachu domu, ktoś łapie w sieć gołębie... Albo ma grządkę na dachu, mały warzywniaczek i co rano wychodzi na dach, pieli grządki, zbiera dojrzałe pomidory, a z worka wyjmuje miarkę mąki, po-

tem piecze chleb, i przygotowuje posiłek na drewnianym stole, a pod nim jest cały świat... Na tym samym stole rozkłada plany ucieczki, i zabiera się do pracy. Tak wyobrażałem sobie drogę do nieba pana Szuruburu.

Zalew

Nie tylko ja prowadziłem obserwację. Ludzie w tym bloku nie znają się zbyt dobrze – może kilka osób utrzymuje bliższe kontakty. Teraz jednak kojarzyli mnie już jako kogoś z administracji, kogoś, kto włóczy się po bloku i ciągle czegoś szuka. Zaczęli patrzeć na mnie podejrzliwie, przypatrywać się ciekawie temu co robię. Jak się dowiedziałem, jeden emeryt nawet prowadził zeszyt, w którym notował, kiedy pojawiłem się na dziesiątym piętrze i o tyle, o ile mógł obserwować mnie przez judasz – co tam robiłem. Dzieci z parteru robiły dyżury przy drzwiach, udając, że się bawią w Indian, spisywały notatki operacyjne. Mali szpiedzy i starzy ubecy. Kiedy stałem na klatce albo paliłem na półpiętrze, albo stałem pod drzwiami na dziesiątce – czułem jak z drugiej strony drzwi ktoś wytrzeszcza na mnie jedno oko, drugie pewnie trzymał zamknięte. Atmosfera zrobiła się napięta.

– I co pan tak wypytuje o tego tam Słowika, przecież wiadomo, że to nie on jest wszystkiemu winien – spojrzał na mnie wyzywająco zaczepiony na klatce schodowej sąsiad.

– A kto w takim razie?

– Jak to kto, wszyscy wiedzą! A kiedy sprawa się zaczęła? Kto węszy tu od początku, z pomocą administracji szuka nie wiadomo czego? Kto ciągle nam mydli oczy jakimś Słowikiem, którego nikt nie widział? Panie! Wszyscy już wiedzą co z pana za ziółko.

I tak oto stałem się głównym podejrzanym. Andrzej coraz wyraźniej przychylał się do opcji, że tu trzeba egzorcysty, a nie

urzędnika. Administracja prędzej poczeka aż sytuacja sama się rozwiąże, niż wyłoży pieniądze na ściągnięcie dźwigu, bo skąd niby te pieniądze wziąć?

Czas było stlenić się na kilka dni, wziąć zapas jedzenia, palenia, picia i wszystkiego co niezbędne do życia i do oddychania, po prostu wyjechać w lepszy klimat. Jak zawsze poszedłem sprawdzić na strych i pod drzwi, czy coś się zmieniło, ale zamiast stukać do drzwi, postanowiłem nacisnąć klamkę. Nigdy wcześniej mi to nie przyszło do głowy, stukałem, dzwoniłem, filowałem przy drzwiach, ale nigdy nie odważyłem się nacisnąć klamki. Może bałem się właśnie tego, że wejdę bez przeszkód?

Drzwi ustąpiły na kilka centymetrów. Tego akurat zupełnie się nie spodziewałem. Przycisnąłem do nich mocno policzek i wsadziłem rękę jak najdalej w głąb ciemności. W środku nie było nic, jakiś chłód, nic więcej. Wciągnąłem powietrze nosem – żywica, lakier, drewno, tylko tyle. Odwróciłem się i spojrzałem na drzwi mieszkania naprzeciwko, poczułem, jak ktoś za nimi zamarł bez ruchu – w judaszu pojawiło się światełko, ktoś odchylił głowę. Pewnie wstrzymał oddech. Mnie się tak boją? Oparłem się o drzwi i zapaliłem papierosa, nikt nie wyszedł zwrócić mi uwagi. Rzuciłem niedopałek na korytarz i wróciłem do mieszkania. Tego samego dnia wyjechaliśmy z Heleną nad Zalew Zegrzyński.

Dojechaliśmy w nocy, w bagażniku mieliśmy wędki i całą resztę sprzętu. Wysiedliśmy na parkingu, a potem piechotą chcieliśmy dojść nad wodę

– Halt! Nie ma, jezioro zamknięte – powiedział pijany strażnik. Olaliśmy go. Doszliśmy do miejsca, w którym powinna zaczynać się woda, ale był tam tylko piach. Woda znikła. Szliśmy więc po dnie jeziora, tak jak szlibyśmy pod bezchmurnych niebem, aż w końcu, w najgłębszym miejscu, znaleźliśmy wodę i sieci, w sieciach ryby. Prawdziwa manna. Wzięliśmy kilka, i one wyślizgiwały się z rąk. Braliśmy, nie żeby je zjeść, ale tylko tak sobie. Potem wody zaczęło przybywać i jezioro znowu było otwarte. Ciekawe czy zwijają też asfalt na noc?

W okolicach zalewu jest ośrodek dla upośledzonych i właśnie w pobliskim barze tej nocy mieli zabawę. My mieliśmy znalezione w sieciach ryby i wędki, których nie było gdzie zostawić, bo nikt normalny nie idzie pół kilometra do samochodu niedopity. Oprócz imprezowiczów pełniło w barze dyżur kilku miejscowych pijaczków o czerwonych nosach i oczach, którymi widzieli cuda, co nam się o nich nie śniło, mielili pod językami wytarte do podszewki historie z życia.

– A pamiętasz jak zabili Małego? Kurwa, wytłukli mu najpierw trzy zęby chyba, podpalili mu brodę, przeciągnęli go po asfalcie. Ponoć ciągnęli go na sznurku, bo brzydzili się dotknąć. Kopać się nie brzydzili. I za co, kurwa, powiedz mi, za co, za to, że siedział na ławce, pił komandosa i śpiewał? Kuuurwa... I niemożliwe stało się możliwe, bo ja myślałem, że Mały to nas wszystkich przeżyje, znałeś go.

– A jego Anka co teraz robi?

– W Anglii pracuje ponoć, robi loda za funty, za inną, lepszą walutę.

Helena chciała zagadać do bejów, ja nie chciałem. Znałem te pijackie łzy, kiedy ktoś tylko chciał ich słuchać. Do rana udało nam się wypić kilkanaście piw, tańczyć, jakby świat miał się zapaść w siebie – potem kilka godzin snu w samochodzie i rozkoszny kac.

Śniło mi się wtedy, że jestem w kościele, a przecież od dawna już się tam nie pojawiam. Słyszałem kazanie o piekle, które jakoś mnie przerażało i patrzyłem pod nogi – na ziemi były płytki ułożone w dziwny wzór. Wpatrywałem się w ten wzór i nagle zrozumiałem, że poruszam się nie po kafelkach– poziomo i w pionie łażę po labiryncie, Andrzej przyjechał autobusem i nas odwiózł, obudziłem się i znów Warszawa.

Po powrocie sytuacja statkowa była bez zmian. Podobno kot Rajkowskiej wszedł przez drzwi, przecisnął się w głąb mieszkania pod 156. i nie wrócił. Ciekawe. Kot może, a człowiek nie może?

Wróciłem do domu, wygrzebałem prochowiec i swoje okrągłe okulary, po drodze kupiłem kapelusz z szerokim rondem. Siadłem przy stole i zaparzyłem herbatę. Kiedy Helena wróciła z pracy i zobaczyła faceta w prochowcu i kapeluszu siedzącego przy kuchennym stole, wprawnym ruchem wyjęła z torebki gaz. To cud, normalnie znalezienie portfela zajmuje jej około 15 minut. Zdjąłem kapelusz i dopiero wtedy mnie poznała.

– Nie poznałaś mnie, będę bogaty. To dobra wróżba, prawda?

– Chyba tak. Co ci jest?

– Nic. Przebierz się – zarządziłem – idziemy na łowy.

– Jak mam się przebrać?

– Ubierz sukienkę, weź ciepły sweter. Przygotowałem karimaty i koc, dziś ma być piękna, ciepła noc.

– Jedziemy na wycieczkę?

– Tak. Windą.

– Super – uśmiechnęła się pięknie i w czasie kiedy się przebierała, ja przygotowywałem piknikowy koszyczek: kurczak na zimno, wino, bułeczki, pomidorki, ogóreczki i wszystko inne, na co moglibyśmy mieć ochotę. Potem wyszliśmy z mieszkania, pod blokiem czekał na nas Andrzej z psem.

– Masz klucze?

– Mam.

– Nie idziesz z nami?

– Idę, jasne, że idę. I Słodziak idzie z nami.

– Słodziak?

– On nazwał psa Słodziak? – spytała Helena konspiracyjnym szeptem.

– Nie, nazywa się Jose Manuel, ale nazywam go Słodziak – powiedział urażony Andrzej – Bo jest piękny.

– Idziemy?

– A powiecie w końcu dokąd idziemy? – spytała Hela, która lubiła wiedzieć, co się wokół niej dzieje.

– Zaraz się dowiesz – odpowiedział Andrzej.

– Niespodzianka?

– Niespodzianka.

– A! To prowadź – powiedziała uspokojona, że świat znów tak pięknie dał się zaklasyfikować.

Przeszliśmy do sąsiedniego bloku, wybrałem pierwszy numer na domofonie i powiedziałem „Odczyt gazu!", po chwili domofon zabrzęczał i weszliśmy na klatkę. Pojechaliśmy na 10. piętro, Andrzej sprawnie odpiął drabinę przymocowaną łańcuchem (w naszym bloku ktoś ukradł razem z łańcuchem) i otworzył właz, choć widać było, że trochę się boi. Andrzej wszedł pierwszy, potem weszła Hela, żebym, patrząc z dołu, miał rozkoszny na nią widok, a potem wziąłem pod pachę Jose Manuela i skomląc weszliśmy na tyle wysoko, że mogłem podać go Andrzejowi, wróciłem po koszyk z jedzeniem i plecak z kocami i karimatami, zamknęliśmy właz i świat o nas zapomniał.

Na dachu naprzeciwko widzieliśmy statek. Przepiękny, około 10-metrowy dwumasztowiec, idealną kopię starego żaglowca i krzątającą się wokół niego ludzką sylwetkę. Nie chcieliśmy przeszkadzać, więc siedliśmy na karimatach, paliliśmy w ciszy trawkę i patrzyliśmy jak Noe idzie spać. Nie wiem, czy nas nie widział, czy po prostu było mu wszystko jedno. Kiedy zrobiło się ciemno otuliliśmy się kocem, do nóg Andrzeja dotulił się Jose Manuel.

– Co musielibyśmy zrobić, żeby zabrał nas ze sobą?

– Dokąd?

– Nie wiem, dokądkolwiek.

– Helena, to jest statek na dachu. On nigdzie nie popłynie, on tam zostanie, dopóki go nie rozbiją na deski i nie wyniosą.

– Będziemy go bronić – powiedział niespodziewanie Andrzej.

– Proszę?

– Będziemy go bronić.

– Jak?

– Przykujemy się do masztu.

– To nas wyniosą z masztem.

– Chuje – powiedziała spokojnie Helena, pociągając łyk wina.

– Rycerze porządku.

– Myślę, że gdybyśmy czekali pod jego drzwiami albo tutaj, albo wspięli się po linach na dach, moglibyśmy wejść do niego.

– Myślisz, że on by tego chciał?

– Nie wiem, musiałby się do nas przyzwyczaić.

Wina w butelce szybko ubywało, trawa już się skończyła. Świat kołysał się przyjemnie, a pod czaszką tętnił znany rytm powolnej przyjemności. Tylko Jose Manuel pozostał czujny i co jakiś czas podnosił oczy.

– Z czym są te jointy? – spytał Andrzej, znów mnie zaskakując.

– Nie wiem, chyba czymś nasączane – powiedziała melancholijnie Helena, nie zaskakując mnie ani trochę. Potem westchnęła, spojrzała w niebo i powiedziała:

– Widzieliście to?

– Co? – spytaliśmy razem.

– Delfinka.

– Gdzie?

– Na niebie.

– Hela, nie udawaj, że jesteś zjarana, kiedy jesteś zjarana.

– Durniu, chmury się układają w delfinka.

Moja wyobraźnia zadziałała tym razem jak zbyt dobrze naoliwiona maszyneria i niebo runęło, odsłaniając marmurową fontannę przedstawiającą delfinka.

– O, delfinek – powiedziałem.

Jose Manuel węszył wokół jakby i do niego doszedł dziwny, morski zapach.

– Mógłbyś przestać chodzić do pracy, zamieszkać z wariatem na statku na dachu domu, tylko dlatego, że coś cię w tym pociąga?

– No – powiedziałem tylko, bo sformułowanie „dachu domu" przypomniało mi coś, za czym tęskniłem od dzieciństwa.
– To chodźmy tam – powiedziała Helena.
– Co? Dokąd?
– Chodźmy tam teraz.
– Jak?
– Pójdziemy pożyczyć dźwig – zobaczyłem błysk z jej oczach.
– Nie mam przy sobie pieniędzy.
– No to ukraść.
– Andrzej, co myślisz?
Andrzej przestał na chwilę głaskać psa, spojrzał błędnym wzrokiem i nie odpowiedział. Helena wstała raźno i poszła w stronę włazu. Otworzyliśmy go i wtedy okazało się, że drabina to pojawia się, to znika i trzeba byłoby schodzić po niej bardzo szybko, zanim zniknie, bo można by spaść, zanim znów się pojawi.

Podeszliśmy do krawędzi dachu i ustaliliśmy, że będziemy skakać na balkon na 10. piętrze. Trzeba znaleźć w sobie odwagę. Balkony nie znikają i kiedy już miałem skakać, a dzięki temu, że Helena trzymała za mnie kciuki powodzenie akcji było zapewnione, Andrzej podszedł do mnie i zwyczajnie przewrócił. Jose Manuel uznał, że chcemy się z nim pobawić, a Helena, że jak wszyscy, to wszyscy i po chwili pamiętaliśmy już tylko o tym, że niebo jest ciemne, a na nim są gwiazdy i właśnie tak zasnęliśmy.

Rano zbudziło mnie słońce palące w oczy. Poranek był piękny i pod stopami miałem cały świat. Rozejrzałem się i odetchnąłem świeżym powietrzem. Spałem dobrze i dawno nie miałem tak pięknego przebudzenia, słońce, powietrze, miasto w dole. Po chwili spojrzałem na swój blok i coś mnie zastanowiło – blok wyglądał tak jak zawsze, nic nie powinno w nim dziwić, tylko... nigdzie nie ma statku. Obudziłem Andrzeja i Helenę, Jose obudził się sam.

– O kurwa – powiedział Andrzej i miał rację. Pobiegliśmy do włazu i dziwiąc się jak udało nam się tutaj wejść, bo stromo i strasznie, zeszliśmy na dół.

Na dziesiątym piętrze w bloku, w którym żyliśmy od lat, były otwarte drzwi do mieszkania 155. Z różnych stron zaczynali schodzić się sąsiedzi, milczący i napięci, osieroceni, świadkowie cudu. Już za parę godzin obwinią kosmitów, Boga, no i oczywiście układ. Teraz jednak mieli dla siebie tylko zdziwienie, bez wyjaśnień. W mieszkaniu było mnóstwo pociętych desek, wiórów, rzeczywiście wszędzie leżały plany i przekroje, ale tym co najbardziej rzucało się w oczy, był brak: nie było ścian, łazienka była w ruinie, nie było też części sufitu, dachem było niebo. Dotknąłem ręki Heleny, bo bałem się, że ona też odleci, a może bałem się czegoś jeszcze.

Przez cały czas liczyłem na to, że on tu zostanie, a może, że to, co robimy wystarczy, żeby polecieć z nim, gdybym oczywiście mógł uwierzyć, że on naprawdę... teraz zostaliśmy z tym, co mieliśmy od zawsze, marne poszukiwania, zabawy, które czasem wymagają nazbyt wiele powagi i zostaliśmy tylko ze sobą nawzajem, a przecież nigdy nie decydowaliśmy, nie mówiliśmy, że chcemy być razem na zawsze, a on teraz odleciał i już nigdy nie wróci i „na zawsze" stanęło nagle przed nami i powiedziało nam, że nie mamy czego wybierać, bo wybieraliśmy codziennie, a teraz już nic się nie da zrobić, przestraszyłem się i znów odruchowo przytuliłem do siebie Helenę, a wokół nas modliło się obce plemię.

Staliśmy z otwartymi ustami, patrząc na miejsce, w którym wczoraj był statek. Musiał pokonać siłę grawitacji, nabrać wiatru w żagle, zrzucić kotwicę możliwości i zwyczajnie odlecieć do miejsc, o których my nie mamy pojęcia. Zostało po nim dużo miejsca, jakiś skowyt w sercu i nic więcej. Kiedy mrużyłem oczy do słońca zdało mi się, że na niebie została po nim rysa.

To nie jest świat dla dżentelmenów

I

To się stało w nocy. Mijały kolejne chwile, a Przemek nadal bał się otworzyć drzwi, wiele by dał, żeby wiedzieć, co się za nimi kryje. W lewej ręce ściskał nerwowo pęk kluczy, które, jak wiedział, do niczego dziś mu się nie przydadzą. Drzwi były otwarte. Znów przełożył ciężar ciała z nogi na nogę, wziął głęboki wdech i wszedł, nie dało się już więcej czekać. Z wahaniem naciskał klamkę, w środku musiał być ktoś obcy, ktoś kto nie spał o tej porze. Tuż za progiem osunął się w zupełny odmęt alkoholowego szaleństwa – Przemek zniknął dla świata.

Świt wstawał powoli i nad Katowicami unosił się mętny zapach spalin i przetrawionego alkoholu. Pojedynczy przechodnie wystukiwali pod oknami rytm i dało się bez pudła poznać, czy spieszą się do pracy, czy może to nocni maruderzy, których sen spłoszył nadchodzący patrol policji. Dworzec powoli budził się do życia, do osobowych wlewały się ospałe tłumy niewyspanych, ledwie żywych robotników, którzy co rano przemierzali całą tę krainę niedostatku w drodze do pracy. Kiedy kolejne ich fale znikały w wagonach pociągu, perony na chwilę pustoszały, ukazując pojedyncze postacie tych, którzy donikąd nie jechali. Jeden z nich, w pijackim zawieszeniu między snem a jawą, stał właśnie na krawędzi peronu, sprawdzając, jak daleko jest w stanie wychylić się nad tory nie spadając w dół; nad nim tymczasem leniwie podnosiło się słońce. Świat powiększał się, sięgał już nie tylko na całe Katowice, słońce oświetlało Bytom, Zabrze, Gliwice i Chorzów, pokazując sczerniałe zęby w pijackim uśmiechu; w załomach murów, w bramach i na klatkach schodowych budzili się bezdomni.

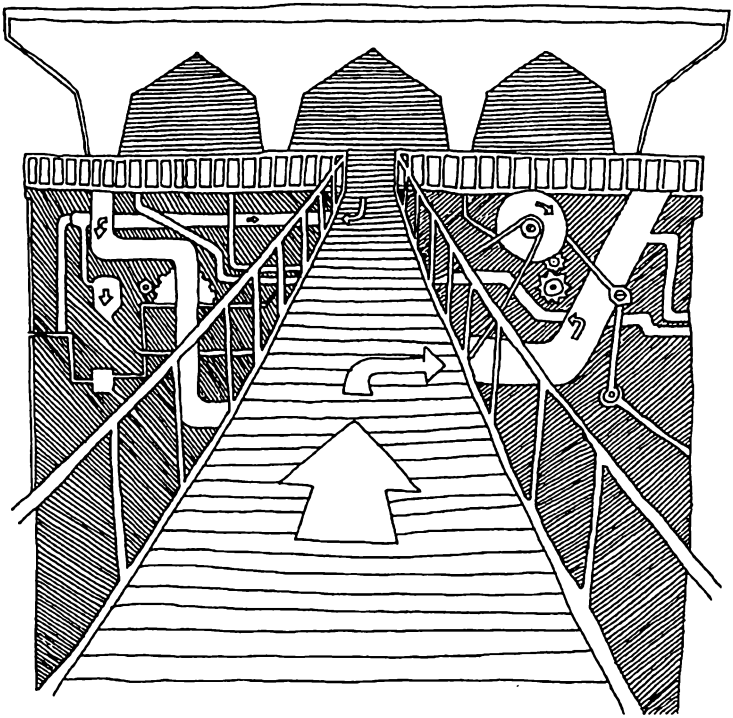

Światło mieszało się z brudnym powietrzem w subtelnie dobranych proporcjach, jakby z odrobiny zbędnego sentymentalizmu i całego mnóstwa miejscowego syfu tego ranka mogło narodzić się szczęście.

Za kilka godzin po tych samych brudnych stopniach peronów przejdą studenci w kolorowych ciuszkach i rogowych okularach, inteligenci w garniturach i fantazyjnych krawatach, świat na nowo zaludni się pokoleniem wygnanych z domu do pracy biedaków, ale biedaków wyższej kategorii.

Przemek zbudził się nagle. To nie było łagodne wybudzenie po pijackiej drzemce, lecz raczej dotyk niepokoju, wewnętrzny

przymus otworzenia oczu. Spuścił nogi z łóżka, spojrzał przed siebie i poczuł, jak żelaznymi obcęgami chwyta go za skronie kac, na potylicy miał sporego guza. Zrozpaczony swoim stanem podparł głowę rękami i postanowił pozostać chwilę w tej pozycji, aż zbierze siły, żeby wstać i iść do lodówki po zimne piwo, które miał nadzieję w niej znaleźć. Kiedy jednak tylko skóra jego dłoni zetknęła się z twarzą, poczuł coś niepokojącego. Podniósł dłonie do oczu, przyjrzał się dokładnie kolorowi swojej skóry i wyszeptał: – Krew.

Wstał gwałtownie, ale zaraz stracił równowagę i – klnąc pod nosem – usiadł z powrotem na łóżku. Rozejrzał się po swoim mieszkaniu, pamiętał tylko wczorajszy powrót do domu, wiedział, że nie zdołał zamknąć za sobą drzwi. Ten, który go tak urządził, mógł czaić się tutaj, w pokoju, kuchni, mógł czekać gdziekolwiek i w każdej chwili mógł wrócić, wejść przez zamknięte tylko na klamkę drzwi i skończyć to, co zaczął. Przemek spróbował wstać ponownie, tym razem ostrożnie i krok po kroku poszedł w kierunku kuchni.

Na kacu nasz bohater prezentował krańcowe stadium zwyrodnienia i upadku, często nie umiał podnieść się z łóżka, a cała powaga wieku męskiego topniała pod wpływem wrażliwości i Przemek płakał, oglądając filmy z Bogartem, wcale nie dlatego, że wzruszała go akcja, a tylko dlatego, że film zawierał w sobie niewybaczalne, uwodzicielskie piękno; cokolwiek by się stało, żaden mężczyzna nie chciałby umrzeć w takim stanie, nasz bohater oparł się ciężko o ścianę i otworzył drzwi lodówki. Sprawnym ruchem, niemal po omacku odnalazł puszkę piwa, otworzył jedną ręką i przez chwilę pił duszkiem, czując jak powoli wstępuje w niego życie. Odetchnął z ulgą i spojrzał trzeźwym wzrokiem do wnętrza lodówki. Po chwili jego oczy powiększyły się z przerażenia i cofnął się dwa kroki.

– Rukola. Nigdy nie jadłem tego pedalstwa.

Przemek skrzywił się, wziął puszkę piwa i przeszedł w kierunku drzwi wejściowych. Zamknięte na klucz. Jak to możliwe? To przecież znaczy, że ktoś ma klucze do jego mieszkania. Komu mogło zależeć na tym, żeby go zastraszyć, żeby zamknąć go w jego własnym mieszkaniu? Oparł się plecami o drzwi i wtedy zauważył, że gipsowy odlew żółwia wmurowanego skorupą w ścianę przedpokoju, prezent od szalonej koleżanki z ASP, którego łapki służyły za fantazyjne wieszaki, został uszkodzony. Podszedł bliżej, dotknął palcem ułamanej nóżki i skrzywił się, jakby próbował ocenić jak dawno temu to się stało, spojrzał lekko na lewo, gdzie wisiało lustro. Było rozbite i gdzieniegdzie widniały na nim ślady krwi.

– Musiałem uderzyć o lustro, a potem straciłem równowagę i poleciałem na żółwia... wygląda na to, że ktoś mnie uderzył i to w moim własnym przedpokoju.

Przemek wszedł do łazienki, w łazience kapiący kran, pokręcił z niedowierzaniem głową „O nie, ja kran dokręcam, szanuję swoje pieniądze, kiedy je miewam".

Czuł, że boli go głowa, to wszystko, co stało się jednej nocy przerastało jego możliwości pojmowania. Wyszedł w piątek na imprezę, dziś jest sobota, a świat wokół niego wykonał salto mortale. Jego słynne brązowe, nieco senne oczy mętniały od nadmiaru wrażeń, a bogartowski uśmiech zastąpił wyraz zwyczajnego zmęczenia człowieka, który nie nadąża za tempem swojego życia. Przemek przeszedł do pokoju, podniósł ze stolika czarny telefon z tarczą i wykręcił numer. Lubił używać tego telefonu, tak jak lubił gromadzić wokół siebie ładne drobiazgi i kobiety.

– Aaaa? – odezwał się zaspany głos po drugiej stronie słuchawki.

– Zuber? Zbudziłem cię? To ja. Potrzebuję twojej pomocy.

– O tej porze?

– Nie przesadzaj, nie jest już tak późno. Zjawisz się?

– Co się dzieję?

– Nie wiem... – Przemek ściszył głos – boję się. Ktoś ma klucze do mojego mieszkania, czekam tu sam, uważaj jak będziesz wchodził do klatki, miej oczy szeroko otwarte.

Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, zrozumiał, jakie zrobił głupstwo. Obejrzał dokładnie telefon w poszukiwaniu podsłuchu, ale nic nie znalazł. Przy telefonie był notes, na kartce nie było nic napisane, ale w jego głowie błysnęła nagle pewna myśl, przeleciało mu przez głowę: „Szalony jestem tylko przy wietrze z północy, północnego zachodu". Wyciągnął mały poobgryzany ołówek i delikatnie zamazał nim białą kartkę. Odsłonił się adres, który ciężka ręka piszącego musiała wyżłobić nie tylko na kartce, na której pisała, ale też na kilku poniższych. Ślad długopisu wyraźnie odbił się na białym papierze. Przemek przyjrzał się kartce – zapisany na niej adres nic mu nie mówił, odłożył papier na stolik i położył się na łóżku, czekał, co innego mógł robić? Przeliczył papierosy w paczce i wyciągnął jednego. Nieświadomy tego jak mocno wyczerpany jest jego organizm, zapadł w drzemkę.

Obudziło go stukanie do drzwi. Wstał i ostrożnie przeszedł w kierunku wejścia, uważając, żeby nie nadepnąć na fragment rozbitego lustra. Wyjrzał przez judasza i zobaczył szczerą twarz Zubera. Otworzył drzwi i przywitał go mocnym uściskiem dłoni. Zuber wszedł, podparł się pod boki i rozejrzał po mieszkaniu.

– Co się stało? – zapytał rzeczowo.

– Wczoraj wróciłem w nocy z imprezy, byłem na lekkim gazie.

Zuber spojrzał na Przemka z niedowierzaniem, kiedy przez wpółprzymknięte ze zmęczenia usta przyjaciela przemknęło się słowo „lekki".

– Kiedy próbowałem otworzyć drzwi kluczem, zauważyłem, że w środku pali się światło, w przedpokoju...

Zuber spojrzał ze współczuciem na okaleczonego żółwia: – Ofiara pijaństwa.

– ...wszedłem do środka, a dalej nie pamiętam. Chyba dostałem w głowę.

Zuber pokiwał głową ze zrozumieniem i odtrącił rękę Przemka, który właśnie zapalił kolejnego papierosa, zaciągnął się ze smakiem, i chciał strzepnąć popiół do popielniczki stojącej na stoliku w przedpokoju. Zuber obejrzał popielniczkę i wyjął z niej niedopałek po slimie, na ustniku widać było wyraźnie ślad czerwonej szminki. W środku popielniczki zebrało się sporo popiołu i około sześć kipów.

– Czekała tu na ciebie dość długo. Szminka – Zuber polizał delikatnie ustnik – hm... droga rzecz, musiała albo gdzieś wychodzić, albo skądś wracać. Spójrz, wokół popielniczki jest popiół, długie smugi, musiała zasypiać z żarzącym się papierosem w palcach...

– Ale kto?

– Może ty mi powiesz?

– Zuber, gdybym wiedział, nie martwiłbym się.

– Ekhem, to nie ja robię ze swojego mieszkania hotel ... – umilkł, widząc na sobie coraz bardziej poirytowany wzrok Przemka. Jego twarz przyjęła poważny wyraz. – Postaram się pomóc.

Zuber zniknął już w łazience. Po chwili wrócił, niosąc płyn do ciała o zapachu morelki.

– Lubisz morelki? Nigdy nic nie wspominałeś.

– To nie moje. Słuchaj, przestań ze mnie kpić. Co byś poczuł, budząc się rano w mieszkaniu, w którym rozgościł się już ktoś obcy? Myślę, że ktoś mnie wrabia, chce, żebym stracił grunt pod nogami – powiedział coraz bardziej przerażony Przemek.

Zuber spojrzał na przyjaciela z nagłym błyskiem w oku: – Przemek, czy to na pewno twoje mieszkanie? Może to ty byłeś obcym, który włamał się po pijanemu do cudzego mieszkania i teraz zgadujesz, co tu nie styka...

– Przecież szedłeś pod mój stały adres – powiedział Przemek cały blady. – Właściwie to nie moje mieszkanie. Właścicielką

jest ciocia, która wyjechała do Niemiec i zostawiła mi lokal tylko za czynsz, znasz sprawę.

– Znam. A nie myślałeś o tym, że wróciła? Musiała przyjechać i po prostu się wprowadziła?

– Dałaby mi znać. Zresztą sądzisz, że mogłaby w jedną noc przyjechać, rozpakować się i zniknąć? No i do tego ciocia Marlena nie pali – Przemek, trzymając w kąciku ust żarzącego się papierosa, przeglądał w telefonie ostatnio wybierane numery. – Nie dzwoniła, nie wysyłała SMS-ów. Na pewno dałaby znać.

– I jesteś pewien, że wróciłeś wczoraj do mieszkania sam?

– Jakie to ma znaczenie? Szampon, który przeniosłeś jest do połowy pusty, ktoś tu mieszka jakiś czas. Albo chodzi tylko o to, żebym tak właśnie pomyślał.

– Rozejrzyjmy się jeszcze – mruknął Zuber. – Woda nad wanną kapie, to do ciebie niepodobne, to znów świadczy, że była tu kobieta, nie miała siły dokręcić kurka. W wannie ślady krwi, pewnie próbowała cię cucić. Podniósł męską kurtkę nieco za dużą na Przemka i spytał: – To twoja?

– Nie, wygląda jak kurtka Marcina. – Przemek uśmiechnął się półgębkiem, myśląc o swoim kuzynie. – Traktuje to mieszkanie trochę jak swoje, wiesz sam...

Zrobił kilka kroków, przeszedł do pokoju, żeby zawiesić bezpański ciuch na wieszaku i spokojnie otworzył szafę.

– O kurwa – wyszeptał Przemek. Stojąc za plecami Zubera, poczuł jak rośnie w nim przerażenie.

W szafie były wprawdzie jego garnitury, koszule, marynarki i płaszcz, ale ściśnięte, brutalnie zsunięte na prawą stronę, podczas kiedy z lewej wisiały sukienki. Przemek poczuł, jak robi mu się gorąco. Komuś chciało się zrobić brzydki dowcip przy użyciu ogromnej ilości środków, a może coś w rzeczywistości przestało funkcjonować, ktoś zmienił zasady w trakcie trwania gry. Zdawało się, że gdyby odepchnął mocno ścianę, odsunęłaby się, odsłaniając jakąś fantastyczną przestrzeń, że szafa lada chwila ożyje

i odpłynie przez okno, rozkładając drzwi jak skrzydła, zdawało mu się, że pod jego zmęczonym wzrokiem krzywią się ściany, a na krawędzi widzenia przemyka się gdzieś cień somnambulika Cezara.

– Chodźmy stąd – powiedział w końcu Zuber.

Przemek spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Nie poczekamy tutaj aż ona albo oni znów się zjawią?

– A po co? Wrócimy wieczorem, jeśli coś się zmieni, znajdziemy nowe tropy. Jeśli tu będziemy, może nawet nikt się nie zjawi. Wrócimy niespodziewanie. Zyskamy dzięki temu element zaskoczenia i będziemy mieli okazję się rozejrzeć. Nie ma sensu siedzieć tu i czekać, kiedy ktoś może mieć nas cały czas na widelcu.

– Dobrze, pewnie masz rację.

Przemek wstał, poszedł do łazienki nieco się przemyć, chociaż zmyć krew z twarzy. Zuber w tym czasie czekał, myślał, kombinował, wyobraźnię miał wyćwiczoną na literaturze, w której zawsze odnajdywał zagubione tropy, od najmniejszych fragmentów i potknięć dochodził do znaczeń, o których istnieniu nie wiedział żaden mniej uważny czytelnik; z tego składało się całe jego życie.

Po chwili Przemek był gotowy, włożył tę samą brązową skórzaną kurtkę, w której był wczoraj, wziął zarysowaną ołówkiem karteczkę i sprawdził, czy ma klucze do mieszkania, portfel, potem opuścili budynek. Kiedy wyszli, podał Zuberowi karteczkę z nieznanym adresem, tłumacząc, skąd się wzięła.

– Sprytnie – pochwalił przyjaciel – Masz pojęcie co to za adres?

– Nie, nawet jeszcze nie sprawdzałem na mapie.

– OK, zajmiemy się tym później. Tymczasem porozmawiajmy, rozmowa umila pracę.

– O czym?

– Tematów jest wiele. Słyszałeś o Kwaśnym?

Zuber wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale Przemek nie był w nastroju do żartów, szedł ze spuszczoną głową, czując, że tym razem wdepnął w coś, z czego łatwo się nie wygrzebie.

II

Tuż za progiem kamienicy Przemek zatrzymał się nagle, coś przez cały czas uwierało go na plecach. Zdjął kurtkę i przyjrzał jej się dokładnie.

– Coś nie tak? – spytał Zuber.

– Metka – powiedział. – To nie mój ciuch.

– A czyj?

– Nie wiem, kurtka bardzo podobna do mojej, ale nie moja.

– Sprawdź, co masz w kieszeniach.

Przemek położył kurtkę na ławce i zaczął przetrząsać kieszenie. Po kolei kładł na ławce nóż sprężynowy, papierośnicę, swój portfel i swoje klucze. Tym, co go uwierało, była metka, kurtka była nowa, być może kradziona. Przemek otworzył papierośnicę, były w niej trzy jointy, ze środka unosił się kuszący zapach marihuany.

– Nie ma dokumentów... ale jest rysopis.

– Jak to?

– Jeśli tak gładko wszedłeś w czyjąś kurtkę, znaczy, że facet musi być twoich gabarytów, prawda?

– Fakt.

– Kolor niemal identyczny, możemy założyć, że ktoś, kto wybiera taki krój, ma jakiekolwiek pojęcie o stylówie, więc dobierał kolor kurtki, który będzie pasował do jego karnacji.

– Możliwe, ale to nie musi być prawda. Jeśli masz rację, chodzi o kogoś, kto wygląda jak ja i chodzi w mojej kurtce, tak? To czyste szaleństwo!

– Tak. Myślę, że jeśli go znajdziemy, dowiemy się w końcu, gdzie wczoraj byłeś. Co robiłeś przez ostatni tydzień, pamiętasz?

– Jasne, że tak.

– Kiedy wyszedłeś z domu?

– Wczoraj, w piątek, koło siódmej wieczorem...

– Dokąd jechałeś?

– Szedłem na piwo do Gugalandra.

– Z kim się miałeś zobaczyć?

– Nie wiem, miało być sporo osób, niebawem pewnie znów się tam zjawią, możemy iść popytać.

– Masz problem, kolego, nie wiesz, kto rozwalił ci gębę i kto sypia w twoim łóżku. Sprawdź w komórce, do kogo dzwoniłeś, z kim rozmawiałeś dłużej, z kim rozmawiałeś ostatnio.

Przemek wyciągnął telefon i spojrzał na ostatnie połączenia.

– Wygląda na to, że ostatnio rozmawiałem z Szafą.

– To zadzwoń do niego – powiedział Zuber.

Trwało chwilę, zanim udało się połączyć. „Taka impreza, myślałem, że akademik tym razem się jednak rozdupi na kawałki" słyszał dochodzący gdzieś z daleka głos Zuber. „Było zajebiście. Gdzie? Akademiki, Gliwice. Nie rób jaj! Piłeś z nami, no jasne, że piłeś! Ani na chwilę nie wychodziłeś. Od której? Jakoś tak od szóstej do trzeciej w nocy, potem gdzieś polazłeś, rano cię nie było. Wszystko z tobą w porządku, trochę miałeś wczoraj zgona". W trakcie rozmowy Przemek robił się coraz bardziej blady, rozglądał się z niepokojem.

– To gdzie w końcu wczoraj byłeś?

– W Guga, poszedłem do Gugalandra...

– Okłamujesz mnie? To jakiś dowcip?

– Po co miałbym to robić?

– Nie wiem. Ale nie sądzę, żebyś upił się tak, żeby znaleźć się w dwóch miejscach naraz, prawda?

– Coś tu śmierdzi, coś tu naprawdę nie gra.

Zuber wziął jednego skręta z tych znalezionych w kurtce i zbadał dokładnie filtr, rozdarł na nim bibułkę i zobaczył kilka literek, jakby z wizytówki. Rozdarł bibułkę do końca, zawartość skręta starannie przesypując do papierośnicy, potem spojrzał na kartoniki. Wszystkie trzy były wydarte z tej samej wizytówki: Aleksander Pstrowski, ochrona osób i mienia, dało się odczytać z kilku strzępów. Obaj przyjaciele wymienili zdziwione spojrzenia. Znali trochę Pstrowskiego, otarli się o niego tu i ówdzie, ale to nie był człowiek, z którym dżentelmen rozmawia z przyjemnością. Rzadko kiedy pokazywał się sam, najczęściej chodził z obstawą, jakby się bał, że ktoś kopnie go w te jego pozłacane jajka, z pomocą których chciał ponoć przelecieć połowę Śląska, nie zważając na płeć. Miał za dużo kasy na zwykłego cwaniaka, za dobre układy, jeździł za dobrym samochodem i chodził do zbyt dobrych burdeli, niedobrze było za długo kręcić się w jego towarzystwie. Postanowili, że pogadają z nim później, tymczasem skierowali kroki na dworzec.

III

Szli ulicą w kierunku dworca i rozglądali się uważnie, szukając jakichkolwiek tropów. Jeśli chcesz znaleźć tylko jedno spośród tysiąca zdarzeń lub tylko jeden wśród tysięcy przedmiotów, trudno jest odnaleźć to, czego szukasz. Dlatego należy szukać czegokolwiek, kojarzyć z pozoru nic nie znaczące fakty, odnajdywać odległe ślady, a potem po nitce dochodzić do kłębka i Zuber przekonany był, że pod powierzchnią rzeczywistości znajdują się ścieżki prawdy, które można wyśledzić dzięki sile logicznego myślenia, a wtedy rzeczywistość ukarze swoją racjonalną strukturę.

Przede wszystkim szukali kogoś podobnego do Przemka, czasem zdawało się, że na ulicy miga gdzieś brązowa kurtka, któryś dostrzegł identyczne oprawki okularów, znajomy sposób chodzenia Tymczasem szli wąskimi ulicami, poruszali się pomiędzy

brzydkimi budynkami, które pamiętały lepsze czasy, powoli zbliżali się do dworca.

Plan urbanistyczny Katowic wygląda jak obrus szaleńca, na którym są ślady po wszystkich posiłkach, jakie znajdują się w polskim jadłospisie, ale głównie tych uboższych, źle doprawionych, pospiesznie zjadanych na przerwie w pracy i tylko gdzieniegdzie na tym brudnoszarym płótnie od niechcenia porozrzucany jest kawior.

O tej porze roku było jeszcze chłodno i dworzec wyglądał jak po wybuchu bomby, wszędzie kotłowały się ludzkie strzępy, na każdym stopniu trzeba było uważać, żeby nie potknąć się o półmartwego menela. Budynek z daleka wyróżniał się kształtem, to był jeden z najlepiej zaprojektowanych dworców, w czasie kiedy powstawał. Teraz zaludniają go głównie bezdomni. Wielu z nich mieszkało wcześniej w hotelach robotniczych, które w latach 90. stopniowo likwidowano. Górnicy, kolejarze, starzy kawalerowie, którzy całe życie poświęcili pracy, z odznaczeniami dla przodowników czy stachanowców na piersi, walczyli o nowy świat. Nie wiedzieli tylko, że w tym świecie nie ma dla nich miejsca. Kiedy odebrano im dach nad głową, robili dalej to, co przez całe życie w wieloosobowych pokojach – pili. Teraz nikt nie mówił o nich w wiadomościach, milczały o nich gazety, przestali być bohaterami. Pozwolono im zapuścić brody, zaśmierdnąć, umrzeć na stopniach dworca. Przemek wzruszał się nad nimi czasem, Zuber przechodził obojętnie nad leżącymi ciałami, mówiąc: „Życie". Szli prosto przed siebie, wiedzieli kogo szukają.

Kiedy w kopalni zbiera się metan, kiedy zaczyna się pożar, najpierw pod sufitem gromadzą się niewielkie bańki gazu i po kolei wybuchają. To zapowiedź dużego wybuchu i wszyscy wiedzą, że jeśli w tym momencie nie wyjedziesz z zagrożonego chodnika, nie masz szans. Ludzie najczęściej tracą słuch od huku z tych malutkich wybuchów, Alek stracił wzrok, bo nie mógł oderwać oczu. Kiedy jeszcze istniały hotele robotnicze, renta starczała mu

na życie, na mieszkanie. Potem znalazł się na dworcu. Był niewidomy i musiał się jakoś urządzić, zaczął sprzedawać – ludzi i informacje. Ponoć każdy jest na sprzedaż, tylko czasem braknie funduszy, jemu nigdy nie zabrakło, bo wiedział kogo wziąć na jaką monetę.

Zuber znalazł go szybko, w rogu, zagrzebanego w szmatach, gdzie chronił się przed zimnem, poza tym chyba nie chciał być widoczny. Kazał Przemkowi przejść przez dworzec i zaczekać na placu Andrzeja. Przemek nigdy nie widział Alka i wyobrażał go sobie jako rudego karła, który każde zdanie wypowiada tył na przód, choć nie miał pojęcia, skąd w jego głowie tak absurdalne skojarzenie, potrząsnął z niedowierzaniem głową i wyszedł z dworca. Palił marlboro light przyglądał się chmurom i nogom przechodzących dziewczyn, szukając choć odrobiny zapomnienia.

Kiedy skończył palić, znikąd zjawił się mały człowieczek, który podszedł, kuląc, (co typowe dla ludzi, którzy przez cały dzień nie mogą zdjąć butów) i wyjął z popielniczki wyrzucony przed chwilą przez Przemka niedopałek. Zaciągnął się kipem, zgasił i poszedł, odprowadzany zdziwionym wzrokiem Przemka.

Tymczasem Zuber wprawnym ruchem włożył w rękę Alka po kolei trzy paczki papierosów. Otworzył płócienną torbę, z którą niemal nigdy się nie rozstawał i wyjął pół litra. Staruszek zbadał kształt butelki i orzekł:

– Tadeusz. Fajki też markowe. Czego chcesz?

– Szukam przyjaciela.

– Źle trafiłeś. Ja się z tobą nie zaprzyjaźnię – odpowiedział Alek, uśmiechając się bezzębnym uśmiechem.

– Szukam bruneta, około 180 cm wzrostu, zakola, średniej sylwetki. Pojawia się na dworcu od poniedziałku do piątku między 8 a 20, brązowa, skórzana kurtka, okulary albo soczewki.

Alek gwizdnął przeciągle i po chwili zjawił się przy nim mały rudy człowieczek, w zatłuszczonej marynarce. Jeden z tych, któ-

rych nigdy nie zauważasz, czasem tylko twoje spojrzenie styka się z jego wzrokiem, kiedy mijasz go zbyt blisko z braku miejsca albo dlatego, że celowo się do ciebie przysunął. Alek kazał mu pochylić się i wyszeptał na ucho kilka słów, człowieczek szybko zniknął w tłumie.

– Interesuje mnie, gdzie był przez ostatnich kilka dni, co robił, gdzie łaził, czy pojawiał się tutaj. Alek patrzył na Zubera niewidzącymi oczami, nagle na twarzy menela pojawił się obleśny uśmiech.

– Będzie się dzisiaj działo. Będzie gorąco – menel bełkotał, a w kącikach jego ust zbierała się piana. – Myślisz, że łatwo ci pójdzie? Wcale nie myśl, a ja ci mówię, że dziś jeszcze będzie gorąco.

Alek mówił po śląsku, po polsku i po niemiecku, ale o czym mówił teraz, Zuber nie mógł zrozumieć. Mówią, że czasem najlepszemu z bezdomnych szpiegów coś się w głowie przestawia i przez chwilę wydaje mu się, że znów jest w kopalni.

Po kilku minutach wrócił niski, przerywając monolog Alka, pochylił się nad zwojem szmat i wyszeptał kilka słów.

– Stoi na placu Andrzeja. Trzyma rękę w kieszeni i patrzy na dziewczyny, pali marlboro lighty i podnosi jedną brew, kiedy się czemuś dziwi. To ten?

– To ten – uśmiechnął się Zuber. Test wypadł pomyślnie.

– Po więcej informacji wróć wieczorem. Popytam, pomyślę. Przynieś fajki i wódkę.

Zuber pokiwał głową i poszedł sobie, zostawił Alka z tą prostą alkoholową radością. Tutaj jeszcze wróci, a tymczasem trzeba szukać dalej.

IV

– Kogo my właściwie szukamy? – spytał Przemek z odcieniem nerwowości w głosie.

– Ciebie – odpowiedział Zuber.

– Jak to, mnie?

– To ty nie wiesz, gdzie byłeś, twoja pamięć nie działa. Ktoś musi wiedzieć, ktoś cię przecież widział, musiałeś jechać pociągiem, autobusem, iść piechotą. Chcę ustalić fakty. Pamięć to fikcja, nawet o tym nie wiedząc, dopisujesz brakujące elementy swojego życia, okłamując siebie tak dalece jak to potrzebne, a gdybyś nie zastępował tego co prawdziwe, tym co prawdopodobne, oszalałbyś, złociutki. Poza tym jeśli znajdziemy tego, kto chodzi w twojej kurtce, z którym jak się zdaje, łatwo cię pomylić, znajdziemy świadka – mówił spokojnie Zuber, pogrążając Przemka w coraz głębszej rozpaczy. Z daleka wyglądali jak dwie figurki, złudzenie światła odbitego od brudnej szyby: pochylona głowa pozbawiona pamięci i nieustannie poruszające się usta, które z rys na rzeczywistości starają się stworzyć historię.

Po prawej mieli Katowice, po lewej był Chorzów, a przestrzeń ulic zdawała się wykrzywiać w kręgi, tylko po to, żeby dręczyć przechodniów torturą powtarzalności tych samych murów, takich samych ścian. Szli chodnikiem wzdłuż ulicy oddzielającej silnym prądem dwa miasta, dwa bliźniaczo do siebie podobne losy. Kopalniana gwiazda Katowic, to ciemny punkt nad horyzontem, ciemne miejsce na rozgwieżdżonym niebie. Chorzów ma piękny uśmiech, tylko wszystkie zęby zepsute, więc nie uśmiecha się po ciemku, bo i tak gówno byłoby widać. Szli krok za krokiem, a wokół rozpościerały się osiedla oddzielone od siebie ulicami i granicami miast, które najlepiej oznaczały zmieniające się napisy na murach. Jakiś złośliwy bóg wojny chciał, żeby w każdym z sąsiadujących miast była pierwszoligowa drużyna piłkarska, których kibice się nienawidzą. Chłopcy gonią się ulicami, konają

na chodnikach, trenują siłę ciosu, bazgrzą po murach, zawierają pakty o nieagresji, a nad każdym stadionem i nad każdym dworcem unosi się raz na jakiś czas gęsty opar przemocy, kiedy na mecz albo ustawkę jedzie ekipa.

Przemek i Zuber szli ulicą krok za krokiem, zatopieni we własnych myślach. Przemek zorientował się pierwszy, że coś jest nie tak. Słyszał, że ktoś idzie za nimi, ale dopiero, kiedy w wąskiej osiedlowej uliczce stanęło na ich drodze kilku chłopaków, zorientował się, co się święci. Żadnych znaczków, barw klubowych, nic. Pierwsze pytanie padło spokojnie, tradycyjnie: „Za kim jesteś?". Przemek miał to w dupie, szczególnie teraz, kiedy spieszył się z powrotem do swojego życia, które, jak mu się wydawało, ktoś mu nocą ukradł. Jedynie z nawyku włożył prawą rękę do kieszeni kurtki. Zuber zatrzymał się, spojrzał na chłopaków uważnie, młodziaki, niektórzy pewnie jeszcze w liceum, szukają drobnych albo adrenaliny. Nie obejrzał się, chociaż czuł, że ktoś stoi im za plecami.

– Frajerzy. – Powiedział na głos. – Jednego jebniesz, trzydziestu ucieknie.

Zrobiło się nerwowo. Chłopak, który pierwszy zadał pytanie otworzył usta, żeby odpowiedzieć na zaczepkę, Zuber tylko na to czekał, szybkim ruchem wyrzucił do przodu rękę, dłoń zacisnął w pięść tuż przed twarzą. To był dobry cios, solidne uderzenie, które zaczyna się gdzieś w nieznacznym ruchu biodra, przechodzi przez bark i kończy nagłym spięciem, kiedy już zaciśnięta w ostatnim momencie pięść dosięgnie celu. Przemek nie lubił bezzębnych uśmiechów, seplenienia kolesi bez jedynek, więc celowałby w szczękę, ale nie widział nawet tej sytuacji, pilnował pleców przyjaciela. Zuber wiedział, co robi, chciał ich wystraszyć – to znaczy, że sam się bał.

Zuber szedł do przodu jak taran, jak kamaz przez rowerownię w fabryce – temu po lewej, w jasnych spodniach od dresu, splunął w oczy, uderzył lewym łokciem, trochę z boku, żeby uniknąć ciosu czegoś, co mógł mieć w schowanej za plecami ręce. Łokieć

trafił idealnie pod ucho, tam gdzie kończy się szczęka i trafiony poskładał się jak drewniany pajacyk, któremu ktoś przypadkiem przeciął trzymający go sznureczek.

Dwóch leżało, trzeci uciekał. Przemek tymczasem stał tyłem do całej sytuacji, mierząc wzrokiem dwóch, którzy mieli być za ich plecami, i którzy nie odważyli się ruszyć. Mierzył ich wzrokiem i szczerze im współczuł tego, co chciał im zaraz zrobić i tego, że stoją tutaj wieczorem, że oni nie zmarnowali swojej szansy, tylko jej po prostu nie dostali i że muszą prężyć muskuły i walczyć o honor taki, jaki mają, bo inaczej wszyscy zobaczą, że są biedni, że w każdej niemal szkole stanowią tylko niepożądany element, że wypadli mamie spod spódnicy przypadkiem. Przemek mierzył ich wzrokiem i nie wyjmował ręki z kieszeni:

– Idźcie sobie, synki – powiedział łagodnie, a oni odwrócili się i szybkim krokiem odeszli.

– Ale wróćcie po kumpli! – krzyknął za nimi Zuber, stojąc nad dwoma wijącymi się na ziemi ciałami. W jego głosie nie było triumfu ani troski, a jedynie proste spostrzeżenie i zdawało się, że jego krzyk trwa jeszcze chwilę w wąskiej przestrzeni uliczki, nawet kiedy za nieprzyjaciółmi ucichły już kroki.

V

Szli szybko w kierunku Załęża, bocznymi uliczkami. Marcin mógł coś wiedzieć, on był specjalistą od takich numerów, od żartów, które kończyły się różnie, to on mógł wpaść na pomysł, żeby zakwaterować kogoś u Przemka, kiedy tego nie będzie, zresztą jako jego kuzyn miał drugi komplet kluczy do mieszkania cioci. Nie chcieli dzwonić, chcieli go wziąć z zaskoczenia, przycisnąć trochę, popytać. Marcin nie jest łatwym rozmówcą – były zapaśnik o twardym karku, nie schylał głowy przed byle kim, przywykł traktować ludzi z góry.

Z każdej strony patrzyły na nich pomalowane na czerwono albo niebiesko futryny okien, ceglane ściany. Familoki wokół układały się w cztery ściany, pośrodku było podwórko, od ruchliwej ulicy oddzielał je brudny ekran akustyczny. Gdzieś tu znajdowała się piwnica, w której Kwaśny, wspólny znajomy Zubera, Marcina i Przemka, dokonywał cudów, o których nie śniło się nie tylko filozofom ale nawet zwykłym kretynom po halucynach. Od małego mieszał w probówkach płyny i roztwory, mierzył i smakował, po raz kolejny odkrywał to, co dla nauki było od dawna oczywiste. Zdobył sobie wielu przyjaciół i niezłe źródło utrzymania, produkując pokątnie dragi. Przemkowi zdawało się, że ze spalinami miesza się ten dziwny zapach czegoś, co Kwaśny dopiero przeciąga ze świata swojej wyobraźni do rzeczywistości, zapaszek, który zawsze dało się wyczuć w jego pracowni.

Weszli na chłodną klatkę schodową, po schodach wspięli się na trzecie piętro, Zuber zastukał do drzwi, Przemek czekał na schodach. Otworzyła siostra Marcina.

– Jest Marcin? – spytał spokojnie Zuber. Znali się i lubili z Małgosią, tym bardziej zdziwił go wystraszony wyraz jej twarzy. Miała przekrwione oczy, z niewyspania albo od płaczu.

– Wejdź – powiedziała.

Zuber wszedł do przedpokoju, ale nie zdjął butów, chciał zadać tylko kilka pytań.

– Marcina zwinęli.

– Kto?

– Jak to kto? Psy.

Zuber był w szoku. Marcin miał już jakieś zatargi z prawem, nie schodził nikomu z drogi i od małego zdarzało się, że przybiegał do domu z rozbitym nosem. Jednak to nie był zły chłopak i nie plątał się w żadne niejasne interesy. Miał wyrok w zawieszeniu: po meczu przyczepił się do niego policjant z prewencji, gdy stali z kolegami, rozmawiali. Kazał się rozejść, zaczął szturchać Marcina pałką po żebrach, szukał zwady. W końcu Marcin nie

wytrzymał i powiedział coś, co tamtemu się nie spodobało, krótka akcja, policjant leży, Marcin zabrał pałkę i kask na pamiątkę. Dzień później zwinęli go z pracy, z Opla w Gliwicach. Marcin przy akcji nie zauważył kamery przemysłowej, z której po chwili pokazali mu nagranie. Patrzył bezradnie na sytuację, która wcale nie wyglądała filmowo, fatalna jakość nagrania, ujęcie z wysoka, a jednak bez trudu dało się na nim rozpoznać twarz sprawcy.

Nikomu nie trzeba mówić, że niektórzy, chociaż noszą mundury, lubią bicie nie mniej niż ci, których ponoć mają pilnować, za jednymi stoi prawo, za drugimi wyłącznie siła. Wszyscy też wiedzą, że jako ochrona na mecze jeżdżą kibice: gra Piast z Ruchem, dostaną pałki i tarcze kibice Górnika i jeszcze zapłaci za to przeciwny klub. Zalegalizowana przemoc jest tu powszechnie uznawaną rozrywką.

W każdym razie Marcin miał zawiasy i powinien był bardziej uważać.

– Co się stało? – spytał Zuber nie na żarty zmartwiony.

– To moja wina – w oczach Małgosi pojawiły się łzy – byliśmy razem na imprezie, jakiś ciul się do mnie przyczepił... chciał koniecznie numer, próbował obmacywać, Marcin się zdenerwował, nie skarżyłam mu się, chciałam go uspokoić, ale on się uparł, wyszli na chwilę, Marcin wrócił sam. A teraz siedzi.

Zuber milczał chwilę.

– Mogę coś dla was zrobić? – powiedział w końcu.

– Nie wiem, teraz chyba nie. Marcin jest w areszcie, będziemy mogli go odwiedzić. Dam ci znać.

– Dobra, dzwoń jakbyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

– Dzięki Zuber – powiedziała.

Mierzyli się jeszcze przez chwilę wzrokiem, potem Zuber przytulił ją mocno, Małgosia z wdzięcznością wtuliła się w miękką bluzę, potrzebowała jakiejkolwiek namiastki bezpieczeństwa. Zuber wyszedł szybko.

Czas już był odpowiedni, żeby skierować kroki do Zabrza, Pstrowski mógł coś wiedzieć. Przemek nie mógł uwierzyć w to, co się stało. To, że Marcin siedzi, było dla niego szokiem prawie tak wielkim jak to, co rano zastał w swoim mieszkaniu. Czuł, że ziemia wymyka mu się spod nóg, a on dryfuje w przestrzeni, w której nie da się znaleźć pewnego oparcia.

VI

Pstrowskiego nietrudno było znaleźć, całymi dniami siedział w Zabrzu w knajpie, której właściciel od pewnego czasu zniknął. To było jego królestwo: skórzane kanapy, czerwone lampy, elektro. Przemek i Zuber przyjechali pociągiem, przeszli przez dworzec, którego budynek wyglądał w kierunku pustki, potem przemierzyli deptak i pewnym krokiem podeszli do wejścia, przed którym stało dwóch koksów. Wyglądali jak rzeźbione w marmurze lwy, które pilnowały wejść do rezydencji książąt, nie musieli się nawet ruszyć, świadczyli tylko o sile tego, kto im płacił. Przemek szedł pierwszy i jego wpuścili bez mrugnięcia okiem, za nim Zuber. Jeden z koksów wystawił rękę na znak, że ten nie wejdzie. Zuber nie chciał, żeby Przemek szedł do środka sam, ale jedyne co mu pozostało, to czekać.

Pstrowski był naćpany. Patrzył mętnymi oczami znad szklanki whisky, która miała nadawać mu szyku, i czekał. Na widok Przemka podniósł się nieznacznie i dał mu znać, żeby się przysiadł, po chwili barmanka, rozsiewając wokół siebie zapach perfum i nie całkiem świeżego pożądania, przyniosła drugą, niską, szeroką szklankę. Pstrowski nalał Przemkowi sporą dawkę czarnego Johnnie Walkera i milczał jeszcze przez chwilę.

– Cieszę się, że w końcu mnie odwiedziłeś, Przemek – powiedział gospodarz i podniósł na gościa przekrwione oczy. Zdawało się, że odbija się w nich wnętrze głowy Pstrowskiego, przez

którą przebiegają w bolesnym tempie kolejne obrazy, jak okna rozpędzonego pociągu, zdawało się, że słychać głosy dobiegające z wnętrza jego urojeń, krzyki i jęki, wszystko, czego może pragnąć człowiek, w skali zwielokrotnionej przez dragi.

– Uważaj, nie pij za dużo. Człowiek powinien być trzeźwy, wtedy będzie lepiej przygotowany, jeśli stanie mu się coś przykrego.

Przemek bał się. Wokół tlił się pożar cwaniactwa, a on był sam w miejscu, w którym nie powinien się znaleźć. Przyjrzał się sobie w lustrze wyszczuplającym wiszącym na ścianie naprzeciwko, obejrzał dokładnie rękę trzymającą szklankę whisky i przybrał zacięty wyraz twarzy. Lekkim ruchem wyciągnął z paczki papierosa.

– A ty?

Pstrowski wybuchnął krótkim, chrapliwym śmiechem.

– Ja nie planuję krzywdzenia siebie.

– Lubisz sobie pogadać, co?

– Lubię, kiedy mnie słucha ktoś, kto lubi mówić jeszcze więcej niż ja.

Pstrowski patrzył z lekkim rozbawieniem, ale Przemek wiedział, że jedyne co musi zrobić, to odtworzyć w jego głowie obraz, który wywołuje respekt. Usiadł głębiej w fotelu, ale plecy miał proste, wyglądał, jakby cały czas zachowywał czujność.

– Rozmawiamy o tym frajerze, który ukradł mi kurtkę? – spytał Przemek zupełnie po omacku.

– Myślałem, że byłeś tak naprutу, że nic nie zauważysz. Miałeś jaja, żeby zaciągnąć do sklepu i kazać kupić nową, bo twojej przecież już nie miał. Ale w tej kurtce nic nie było.

– A co miało być?

Pstrowski znów wybuchnął swoim przykrym dla ucha śmiechem.

– Kwaśny dzwonił do ciebie wczoraj, sprawdziłem. – Pstrowski chwiejnym ruchem wyjął z marynarki zniszczoną mocno komór-

kę, która jeszcze wczoraj należała do Kwaśnego. – Nie udawaj, że nie wiesz, co to jest.

– Wystarczy, że wiem, gdzie to jest – blefował Przemek. Po jego karku spłynęła cieniutka strużka potu, kiedy ją poczuł, na twarzy pojawił się cwaniacki uśmiech.

– A wiesz?

– Po co bym przychodził, gdybym nie wiedział?

– Ty sobie naprawdę nie zdajesz sprawy, jaką to ma wartość, co? Wszyscy tego chcą, rozumiesz? To nie jest zwykły towar, to magiczna różdżka, jebany kwiat paproci. – Pstrowski po chwili odchylił się z powrotem, zaległ wygodnie na oparciu fotela i spytał: – Przysyła cię Marcin?

– To zależy.

– Zależy od Marcina?

– Zależy ode mnie.

– Lubię ludzi takich jak ty. Kiedy ktoś mówi, że zajmuje się czymś, w czym nie ma interesu, po prostu mu nie wierzę.

– Więc konkretnie. Ile to jest dla ciebie warte?

– O nie... – powiedział Pstrowski, a spod jego półprzymkniętych powiek błyszczały przekrwione białka – myślisz, że ci powiem, skoro już wiesz, gdzie to jest?

Przemek wstał gwałtownie, trzymając w rękach szklankę z whisky, drugą ręką wykonał szeroki zamach w powietrzu i pstryknął tuż przed oczami Pstrowskiego. Papieros tlił się na podłodze, snując w powietrzu siwe smugi dymu.

– Ja wiem, gdzie to jest i wiem, że stawiasz na szali cudze życie i wierz mi, ja nie lubię ludzi takich jak ty! Marnujesz mój czas, a jeśli myślisz, że nie będę miał tego pierwszy, to się grubo mylisz – krzyczał Przemek, w pewnym momencie zawahał się na krótką chwilę, spojrzał na szklankę trzymaną w dłoni i po sekundzie roztrzaskał ją o stolik. Przez drzwi frontowe wsunęła się masywna postać, Przemek starał się nie przełknąć głośno śliny, niczym się nie zdradzić.

– Aha i przestań mnie śledzić, bo przysięgam, w końcu któregoś zabiję – powiedział, wyciągając palec wskazujący w kierunku wbitego w fotel Pstrowskiego. Miał przeczucie, że będzie śledzony i jedynie to przypuszczenie mogło wytłumaczyć, dlaczego pozwolono mu wyjść za drzwi w jednym kawałku.

Przemek wyszedł przez drzwi frontowe przez nikogo niezatrzymywany, Pstrowski nie odezwał się słowem. Tuż za drzwiami czekał na niego w pełnym napięciu Zuber, który ruszył tuż za przyjacielem. Przemek zbiegał po schodach, wycierając oblane whisky dłonie w papierową chusteczkę, starając się ukryć, jak bardzo trzęsą mu się palce. Na jego twarz wypełzł bogartowski uśmiech.

Zuber zareagował z niepokojem, kiedy dowiedział się, że chodzi o jakiś tajemniczy towar. Rozumiał, że Kwaśny chciał coś ukryć, być może w mieszkaniu Przemka, że miał w tym jakiś udział Marcin. Tylko dlaczego dzwonił z komórki? Przecież wiedział jak łatwo sprawdzić ten ślad i raczej nie zostawił go Pstrowskiemu.

Po chwili szli dalej, tym razem do autobusu, nie dając się ponieść buzującej w żyłach adrenalinie, chcieli dotrzeć do Guga i uspokoić rozlatane palce na szklance zimnego piwa. Cały dzień przemieszczali się z miejsca na miejsce, pociągiem, autobusem, tramwajem, być może gdyby ciągle nie pili, mogliby jeździć samochodem. Przestrzeń nie ułatwiała podróży, w małych i większych miasteczkach gnieździli się ludzie, przypadkowo rozmieszczeni na wielkich osiedlach, z których było całkiem niedaleko do niewielkich, ukrytych gdzieś w lesie wioseczek, do których dało się dojechać tylko samochodem albo autobusem. Po trzydziestu, może czterdziestu minutach jazdy mogli znaleźć się w zupełnie innym świecie, przejechać z Biskupic do centrum Zabrza, z Zabrza do Rudy, z Rudy do Gliwic, z Gliwic do Rybnika, mogli znaleźć się w utopionej pośrodku niczego Smolnicy, w rozłożonym wokół Dzierżna Taciszowie,

który zasmradzała wielka hodowla świń, przejechać w najdziksze regiony Załęża, dotrzeć do Knurowa autobusem z dumnym napisem na karoserii „Przewóz Knurów" albo przemierzyć całą trasę tramwaju (kiedy jeszcze jeździł), na przykład czwórki, od Wójtowej Wsi w Gliwicach, aż po Rudę Chebzie, gdzie kończył się świat, a zaczynał się ugór; krajobraz zmieniał się, przyspieszał i zwalniał, a wokół cierpiało nędzę, bogaciło się, szukało pracy, traciło ją, znajdowało, jadło, srało i śniło lub modliło się pięć milionów ludzi.

Ciężko było odnaleźć się w tym labiryncie. Nic dziwnego, że któregoś pięknego dnia w Gliwicach, po trasie po której nigdy nie jeżdżą autobusy, w miejsce gdzie od zawsze jest zakaz ruchu, mianowicie na sam środek rynku wjechał autobus, a kierowca wysiadł, wyłączył silnik i powiedział: „Jutro mam lot do Anglii, pocałujcie mnie wszyscy w dupę" i po prostu sobie poszedł. Podróż pomiędzy poszczególnymi punktami w tej przestrzeni to istna katorga, szczególnie na kacu, szczególnie w chłodne dni, kiedy w autobusach i tramwajach jest tłok i unosi się gęsty zapach człowieka, mieli więc nadzieję, że sprawa szybko się wyjaśni i będą mogli spokojnie się schronić, każdy pod własnym dachem.

VII

Weszli do niewielkiego, zadymionego pomieszczenia, w półmroku gubiły się kształty twarzy, mimika. Trudno było dociec nie tylko kto siedzi przy sąsiednim stoliku, ale nawet czy właśnie nie podrywasz własnej dziewczyny. Trzeba było zachować ostrożność. W każdej innej sytuacji obaj kupiliby piwo i zagłębili się w miękkich kanapach, teraz jednak nie pozwalał im na to niepokój. Jedynie wzrokiem dali sobie znać, potem rozdzielili się, Zuber poszedł do baru, Przemek usunął się w cień. Legenda mówi, że

ktoś kiedyś wszedł do Guga, umościł się wygodnie na kanapie i dopiero po chwili zorientował się, że na kimś usiadł. Szybko sprawdził, że to dziewczyna, a kiedy jego oczy przyzwyczaiły się już do ciemności, zobaczył, że to koleżanka ze studiów, z którą umówił się tu dzień wcześniej, ale nie przyszedł. I żyli długo i szczęśliwie.

Przemek usiadł w kącie, dziś chciał być niewidoczny. Jednak już po chwili zjawił się Chudy, człowiek za którym Przemek nie przepadał. Chudy miał ambicję, żeby być lwem salonowym, niestety, natura obdarzyła go bardziej szczurzą postacią. Mało kto za nim przepadał, większość ludzi go tolerowała, bo uznawała to za lepsze wyjście niż nieustanne spławianie. Przemek poprosił, żeby Chudy przyniósł mu z baru piwo i zaczął myśleć, o co można podpytać faceta, który nie opuszcza jedynego lokalu, gdzie czuje się w miarę dobrze.

– Tydzień cię nie widziałem – powiedział Chudy z uśmiechem.

– No to chyba byłeś chory, co?

– Niby dlaczego?

– Bo tylko wtedy cię tu nie ma. Przecież byłem wczoraj w Gugalandrze.

Chudy zasępił się na chwilę.

– Byłem tu cały wieczór i jestem pewien, że cię nie widziałem. Tak samo jak jestem pewien, że byłeś tu tydzień temu.

Przemek patrzył na niego znad szklanki piwa z rosnącym niedowierzaniem, w końcu wybuchnął śmiechem i po raz pierwszy poklepał Chudego po ramieniu z prawdziwą serdecznością, po czym, nie zważając na zdziwione spojrzenie, którym odprowadził go znajomy, wziął ledwie zaczęte piwo i podszedł do baru, przy którym siedział Zuber. W głowie Przemka wszystko zyskało nagle nowy wymiar, elementy układanki trafiły do siebie bez pudła.

Przemek klepnął Zubera w ramię i wyszli na świeże, wieczorne powietrze, odprowadzani zdziwionym do niemożliwości wzrokiem barmana.

– Co on się tak gapił? – spytał Przemek po wyjściu.

– Blefowałem. Mówiłem, że zapiłeś, że tragedia, wylądowałeś na detoksie. A tu nagle zjawiasz się i jakby nigdy nic klepiesz mnie w ramię.

– Słuchaj Zuber – mówił Przemek podekscytowany i rozluźniony – rozmawiałem z Chudym...

– I co ci powiedział? Oprócz nowej historii stworzenia i opowieści o swoim miłosnym blitzkriegu?

– Powiedział mi, że przemkozagadka została rozwiązana. Pomyliłem daty. Wyszedłem z domu w piątek, ale w piątek tydzień temu. Musiałem nieźle zabalować, nic, zupełnie nic nie pamiętam.

Zuber patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jak mogłeś być przez tydzień na takiej bani?

Nagle wybuchnął głośnym śmiechem i poklepał Przemka po plecach.

– Epicko. Jak to możliwe? Wiesz, jakie dziury musisz mieć w mózgu?

– Przez tydzień wszystko mogło się zmienić.

– No dobra, co teraz planujesz?

– Wrócę do mieszkania i poczekam na tę panią, która u mnie mieszka. Nikt nie mówi, że to będzie nieprzyjemne spotkanie, wczoraj mogła się po prostu wystraszyć, wiesz... poza tym chcę się w końcu przespać we własnym łóżku.

– A co z Pstrowskim?

– Mówiłem ci przecież, że blefowałem. Nie wiem, o co chodziło temu ćpunowi, coś mu się przywidziało. Jak dojdzie do siebie albo sam zaczai, że się pomylił, albo mu to wyjaśnię. Nie ma obaw. Jak mu potrzeba takich historii nagram mu „Scareface'a".

– Mówił, że dzwonił do ciebie Kwaśny, na twoim telefonie nie było po tym śladu. Może masz rację, że nie ma powodu do obaw?

– Zuber próbował i siebie przekonać do entuzjazmu, jaki okazywał Przemek.

– Dobra. Wracaj do siebie, daj znać, co znalazłeś. Ja tu jeszcze chwilę zostanę, porozglądam się, popytam.

– Stary, za czym tu się rozglądać? – powiedział Przemek zadowolony, że całą sprawę da się rozwiązać bez odwoływania się do metafizyki – nawaliłem się, tydzień mnie nie było, w tym czasie mogłem zaprosić do siebie jakąś pannę, mogła wrócić ciocia Marlena, mogło stać się cokolwiek... Wszystko się wyjaśni.

W końcu pożegnali się. Przemek rozluźniony poszedł na przystanek. Kiedy wsiadał do autobusu, w drzwiach zderzył się z człowiekiem, który w pośpiechu wychodził, którego skądś znał, który kogoś mu przypominał, trudno było jednak zrozumieć kogo. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że ten człowiek był po prostu bliźniaczo do niego podobny.

VIII

Zuber wrócił dokończyć piwo przy barze, w kilku słowach wyjaśnił, że Przemka już zwolnili ze szpitala, brakowało im łóżek i mieli poważniejsze przypadki. Dorzucił do wyjaśnień opowieść o tym, jak w Zabrzu nie mieli miejsca w szpitalu, więc kiedy ktoś wezwał karetkę do jakiegoś biednego epileptyka, karetka wprawdzie przyjechała, ale kierowca przeciągnął tylko truposza dziesięć metrów dalej i wezwał karetkę z Gliwic. W pewnym momencie barman spytał:

– Słuchaj, nie wiesz, co się stało z tym towarem, który robił Kwaśny?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć – powiedział Zuber, ale nadstawił pilnie ucho.

Najlepsze tabsy świata, jak wiadomo, robił Kwaśny, destylował, gotował, mieszał i dodawał magiczny pyłek od kolorowej

wróżki o wielkich cyckach, wszystko to produkował od piętnastego roku życia w swojej piwnicy. Studiował na polibudzie w Gliwicach, nie miał problemu z dostępem do odczynników i cuda, jakie mu wychodziły, trudno opisać. W dziwacznych szklanych naczyniach w jego piwnicy zawsze coś bulgotało, śmierdziało i zmieniało kolor, ale oprócz najlepszego na świecie poppersa, udało mu się też w domowym zaciszu stworzyć tabletki, które momentalnie zdobyły rzeszę fanów. To nie był atak mocy, nie było zwidów, salwy śmiechu, Kwaśny wydestylował bowiem szczęście. Robił fortunę na sprzedaży niewielkich ilości, ale zawsze wiedział, kiedy przestać, jak nie urosnąć za bardzo, bo na tym wcale mu nie zależało, po prostu produkował tyle, ile chciał.

Ostatnio miał problemy, ktoś zaczął go straszyć, Kwaśny zniknął i wczoraj znalazł się w psychiatryku w Toszku. Wiedział doskonale, co wziąć i ile, żeby się nie przekręcić, tylko trochę postraszyć. Trudno było powiedzieć, czy naprawdę oszalał, czy tylko ktoś nastraszył go na tyle, że alchemik upozorował próbę samobójczą i znalazł się na jakiś czas w bezpiecznym miejscu, w małym zapyziałym miasteczku, gdzie żadne strachy nie są aż tak straszne.

– Wiem, że znowu wynalazł coś, za co powinien dostać Nobla i że wczoraj zniknął – wymamrotał od niechcenia Zuber.

Barman spojrzał na niego, puścił oko i pogroził mu palcem. Nie wierzył, że dobry kumpel Kwaśnego nic nie wie.

– Słuchaj, Kwaśny ostatnio widział się z Marcinem, to znaczy zanim zniknął. Mówią, że coś od niego dostał, a teraz Marcin siedzi... Kwaśny zniknął... ale towar gdzieś jest. Wiesz, jaka to kasa? Wiesz, ile to jest warte, z taką rzeszą fanów...

Zuber robił się coraz bledszy. A więc Marcin znów wplątał się w coś głupiego, postanowił chronić Kwaśnego, zwinął towar przed przeszukaniem policyjnym, które przecież mogło się odbyć po tej próbie samobójczej, naraził się. Pstrowski bez

trudu mógł nasłać kogoś, kto sprowokował bójkę, żeby pozbyć się Marcina, mieć go w garści. Kwaśny zadzwonił ostatni raz na stacjonarny w mieszkaniu Przemka, żeby zmylić ewentualną pogoń albo zostawić ślad, ale nie wiedział, że Pstrowskiemu zależy tak bardzo...

Zuber zapłacił za piwo i wyszedł szybko, spieszył się do taniej księgarni na dworcu, tam za kilka złotych można było kupić mapy wszystkich śląskich miast. Starał się sobie przypomnieć adres, który na zamalowanej ołówkiem karteczce rano pokazał mu Przemek. Ruszył prawie biegiem. Dopiero kiedy rozkładał mapę zauważył, że ktoś mu się przygląda. Teraz już był pewien: barman go wystawił. Gdziekolwiek pójdzie, pójdzie za nim ktoś jeszcze. Zuber kupił cztery mapy (zbyt łatwo byłoby go znaleźć, wiedząc, do którego jedzie miasta) i szybko wyszedł z księgarni, pobiegł na peron, na którym akurat stał pociąg do Tychów. Wbiegł szybko do wagonika i zauważył jak człowiek, którego widział w księgarni wbiega przez następne drzwi. Poczekał do sygnału odjazdu i kiedy odezwał się brzęczący dzwonek, Zuber wyskoczył z powrotem na peron. Odjeżdżającemu do Tychów palantowi pomachał delikatnie nadgarstkiem, niczym książę Walii.

IX

Zuber szybko przemierzył dworzec, tym razem nie było tak łatwo znaleźć Alka. W końcu, gdzieś w kącie dało się dostrzec zakopaną w szmatach postać śpiącego.

– Gdzie Przemek? Gdzie ten, którego miałeś szukać? – pytał nerwowo, szarpał przez chwilę bezdomnego, walił po gębie, próbując obudzić, ale dopiero kiedy zobaczył spływającą po nodze Alka strużkę moczu, zostawił go w spokoju.

Zuber bał się. Wiedział, że nie powinien się wtrącać, że powinien zostawić sprawę swojemu losowi ale wiedział też, że jeśli tylko istnieje ryzyko, jeśli cokolwiek może jej się stać, nie powinien do tego dopuścić. Znalazł na mapie adres, który zapisany był na karteczce. Postanowił pojechać autobusem do Bytomia, a stamtąd do Gliwic, trudniej będzie go wyśledzić, jeśli naprawdę ktoś go szuka. Czasem miał ochotę uznać to wszystko za własny szalony sen, sen jakich miał pod dostatkiem i roześmiać się, ale wiedział, jakie to ryzykowne, jeśli ta paranoja weszła w układ z prawdą.

„Mają nas" – myślał Zuber. „Za mali jesteśmy do tej sprawy. Marcin siedzi. Kwaśny oszalał albo udaje, że oszalał. Przemek myli to, kim jest, z tym, kim chciałby być. Bardziej interesuje go jak wygląda z pistoletem, niż jak się z niego celuje. A ja... ja jestem tylko durniem, który dał się wplątać w nieswoje kłopoty" – powtarzał sobie, a jego oczy rozszerzały się zdziwieniem, dopiero teraz, w strachu zaczął widzieć klarownie świat, w którym żył od dawna, a przecież właśnie na życie w nim był zupełnie niegotowy.

Jechał więc przez kolejne miasta, mijając ogromne budynki, rozsypujące się familoki, stare fabryki. Na całym Śląsku są miejsca oddzielone drutem, płotem albo murem, za którymi znajduje się obcy świat nieustannej produkcji: huty, koksownie, kopalnie. Gdzieniegdzie widać było ogromne kominy lub, tak jak w Bytomiu, nieustanny płomień, jakby te miejsca domagały się dla siebie uwagi, chciały być widoczne, zaistnieć nie tylko w świadomości, ale mieć też udział w widoku z okna domu, z okna pociągu. Ponoć na Śląsku człowiek widzi, czym oddycha.

W Gardawicach na przykład znajdują się składowiska popiołów z elektrociepłowni Łaziska. W czasach komuny sprawę załatwiano w prosty sposób – raz na jakiś czas samolot zraszał cały pokład popiołu cieczą, która miała skleić ten wszędobylski proch, nie pozwolić mu na samodzielne podróże do ust i oczu okolicznych mieszkańców. To, że skuteczność tych zabiegów była marna nie przeszkadzało nikomu za wy-

jątkiem mieszkańców miasteczka, w którym znajdowało się też dziecięce sanatorium.

Cały ten pejzaż przepełniony ogromem i rozpadem miał w sobie wielkość i przerażające piękno ludzkiej i nieludzkiej mocy; i w ten krajobraz zatapiał się Zuber, który był pewien, że po raz pierwszy w życiu przyjdzie mu się zetknąć z tragedią. W myślach widział odrapane ściany kamienic i potężne sylwetki bloków mieszkalnych i znikającą pod kołami autobusu drogę, oczy miał zamknięte.

W końcu znalazł się tam, gdzie chciał się znaleźć, przy ulicy Sobieskiego w Gliwicach, koło parku naprzeciw ruskiego cmentarza. Przy odgrodzonym drutem kolczastym budynku stuletniej wieży ciśnień. Nie miał przy sobie latarki, więc w pobliskim sklepie kupił pół litra spirytusu, w parku znalazł gruby badyl, tuż przed wejściem do budynku zdjął podkoszulek, owinął go ciasno wokół kija, a potem przytknął do miękkiego materiału szyjkę odkręconej butelki.

– Pij, pij – mówił cicho.

Nad nim, między drzewami wznosił się stuletni, nowogotycki budynek z czerwonej cegły, z zakratowanymi oknami i zamkniętymi na cztery spusty metalowymi drzwiami. Mało kto zdawał sobie sprawę z tego, jak ogromna pusta przestrzeń znajdowała się w środku, pustka zamieszkała przez nieudane inwestycje, gołębie i dziecięce strachy. Z piwnicy zionął nieprzyjemny, zatęchły, trupi zapach. Teraz rozumiał, że tutaj nikt z pewnością nie będzie szukał szczęścia.

Zuber powoli zniknął w niskim okienku prowadzącym do piwnicy. Rozejrzał się dookoła za jakimkolwiek świadkiem, za kimś kto mógłby go powstrzymać, przeszkodzić. Z drugiej strony ulicy, z powagą pokiwało nad nim głowami kilkuset ruskich żołnierzy, o obcych imionach wymalowanych na jednakowych nagrobkach.

Po wejściu zapalił prowizoryczną pochodnię i od razu zakrztusił się dymem. Pochodnia paliła się zdecydowanie za szybko, szukał w pamięci jakichkolwiek wskazówek, teraz dopiero uświadomił sobie, że

karteczkę zdobiła kiepska odbita niewielka mapka i napis „nad zb.". Nad zbiornikiem. Szybkim krokiem ruszył szukać schodów na górę.

Kręte ceglane schody prowadziły na górę, na murach widniały namalowane sprejami miłosne wyznania, ciemne kąty wydawały się pełne szczurzej miłości. Na podłodze gdzieniegdzie leżały rozbite butelki, szmaty i strzykawki porzucone pewnie w czasach, kiedy igły były drogie, a aids nikomu nie szkodził. Zuber szybko wspinał się na górę, oświetlając sobie drogę migoczącym płomieniem. Z rozpaczą stwierdził, że ceglane schody kończą się i zaczynają się wąskie, pordzewiałe, metalowe. Szedł po nich szybko, spieszył się, wiedział, że pochodnia w końcu zgaśnie, starał się odczytać niewyraźną mapę, na której niczym w filmie o piratach, krzyżykiem zaznaczony był skarb, a która mogła być tylko złudzeniem pamięci. W końcu znalazł się na złożonej ze spróchniałych desek podłodze nad ogromnym, metalowym zbiornikiem, do którego kiedyś pompowana była woda. Podłoga trzeszczała niebezpiecznie, gdzieniegdzie były w niej przegniłe na wylot dziury, a pod spodem znajdowało się kilkanaście metrów ciemności.

Zuber niemal na czworakach szedł do miejsca, w którym miał odnaleźć zostawiony przez Magdę pakunek, kiedy noga aż po kolano wpadła w dziurę w podłodze. Cudem nie spadł na dół, ale i tak przez chwilę szamotał się w ciemności. Pochodnia wypadła mu z ręki i zgasła. Udało mu się wydostać nogę spomiędzy desek, ale bał się poruszyć, pewien, że z każdej strony może trafić na kolejną dziurę. „Jak tu ciemno"– myślał i czuł, jak zaczyna szczękać zębami ze strachu. Wyjął z torby butelkę spirytusu, odkręcił zakrętkę i wlał w gardło trochę piekącego płynu. Poczuł jak rozjaśnia mu się w głowie, trzęsącymi się rękami zdjął z siebie kurtkę i momentalnie poczuł chłód tego miejsca. Nasączył materiał alkoholem i patrzył jak zajmuje się płomieniem z zapalniczki, to był jedyny jasny punkt w całej ogromnej płaszczyźnie ciemności. Kiedy płomień buchnął, na twarzy Zubera pojawił się

bezmyślny uśmiech, strach, którego przyczyny nie znał, odebrał mu umiejętność zdrowego myślenia. Z początku było tylko jasno, potem robiło się coraz cieplej, Zuber nie miał pojęcia, że suche drewno zajmuje się płomieniem tak szybko. Po chwili paliły się już coraz większe fragmenty podłogi, a Zuber nadal bał się poruszyć, otoczony przez płomienie, którym udało się choć na chwilę rozgonić ciemność. Stał bez ruchu, na przemian otwierając i zamykając oczy, aż podłoga runęła w dół, dach zajął się chwilę wcześniej i płonął jasnym płomieniem, a światu przez chwilę jeszcze nie groził mrok.

X

Przemek drugi raz stał przed drzwiami swojego mieszkania i nie miał pojęcia, co się dzieje w środku. Słyszał głośną muzykę, głosy, widział światła i czuł zapach papierosowego dymu. Czuł, że bardzo mu się to nie podoba. Ktoś urządził sobie pod jego nieobecność imprezę i jak widać świetnie się bawił. Wszedł do środka, drzwi były otwarte.

W mieszkaniu panował rozgardiasz, muzyka grała głośno i snuło się po nim mnóstwo ludzi, z których część znał doskonale. Po kolei witali się z nim, kiedy przechodził przez dwa pokoje i kuchnię. Słyszał znajomy głos z balkonu.

Przemek poczuł jak ktoś go klepie po ramieniu. Odwrócił się. Za nim stał chłopak we fraku i w cylindrze, o ładnej twarzy małoletniego lorda.

– Przepraszam, gdzie tu jest toaleta?

– O tam – powiedział gospodarz, pokazując białe drzwi. Był na tyle zdziwiony, że nie był w stanie wydusić z siebie nic innego.

– A męska? – spytał uprzejmie gość.

– Też tam.

– Aha – powiedziała kapelusznik i oddalił się lekkim krokiem bon-vivanta. Przemek odwrócił się z powrotem w kierunku balkonu i starał się rozpoznać choć niektóre twarze, w tle natomiast słyszał nieustający monolog. Jego umysł, po tygodniu niemal bez snu, działał jak telewizor, w którym ktoś zbyt szybko zmieniał kanały.

Z głębi mieszkania usłyszał dialog o miłości.

– I co, zakochałeś się? – pytał niewysoki chudziutki człowieczek.

– Czy się zakochałem? – odpowiedział duży – ja się stary zapierdoliłem, myślałem, że emocja mi rozkurwi jaja, głowę oraz pozostałe części mojego ciała...

Przemek otrząsnął się jak pies wychodzący z wanny i próbował zrozumieć, dlaczego właściwie znajduje się w tym miejscu. Podszedł do niższego, chwycił go mocno za ramię i zmierzył wściekłym wzrokiem:

– Co tu jest, kurwa, grane? Co ci wszyscy ludzie robią w moim mieszkaniu i kto ich tu zaprosił.

– Nie wiem...

– Jak nie wiesz, jak sam tu przylazłeś?

– Dostałem cynk, impreza u Przema, to jestem.

– Od kogo?

– Od Kuby.

Człowieczek pokazał palcem na ludzkie zwłoki leżące na kanapie. Kuba, aż do przykrego przebudzenia nie będzie mógł chyba nikomu nic powiedzieć, pewnie znów stwierdzi, że polewał mu Ukrainiec, który sam nie pił, a tylko na szkodę młodych patriotów... jakiś nienawistny potomek Bandery. Człowieczek wspiął się na palce, spojrzał na Przemka, a potem z ukosa na uchylone drzwi szafy i wyszeptał:

– Chodzą słuchy, że zostałeś transwestytą.

Chłopak czekał na potwierdzenie lub zaprzeczenie ze strony Przemka, choć plotka i tak rozejdzie się dalej. Przemek patrzył

na niego, jakby nie rozumiejąc ani słowa, i po chwili ruszył chwiejnym krokiem w głąb mieszkania. Osunął się ciężko na krzesło w przedpokoju i rozejrzał się mętnym wzrokiem. Po chwili dostrzegł koło siebie zmartwioną twarz siostry Marcina.

– Nic ci nie jest? Źle wyglądasz – powiedziała Małgosia z autentyczną troską w głosie.

– Dzięki, rzeczywiście nie czuję się najlepiej. Co z Marcinem?

– Chciałabym chociaż przez chwilę o tym nie myśleć.

Przemek poczuł się jakby popełnił nietakt.

– Słyszałam, że ciocia Marlena wróciła z Niemiec – powiedziała Małgosia po chwili ciszy. Przemek spojrzał na nią ze zdziwieniem – No, zdaje się, że to jej rzeczy. Musi tu pomieszkać jakiś czas, rozstała się z tym swoim niemieckim gachem. Wszystko przywiozła ze sobą, nawet papier toaletowy, bo tam trzy razy lepszy, ponoć po prostu wsiadła w samochód i przyjechała, a ciebie nie było. Zdziwiło mnie, że robisz dzisiaj imprezę...

Przemek uczepił się stojącej na stole flaszki i pociągnął potężny łyk. Poczuł jak zaczyna myśleć jasno. W tym momencie ktoś delikatnie poklepał go w ramię. Stała za nim Ula, znał ją niemal od podstawówki.

– Jak ci się mieszka z moją kuzynką? – spytała z szerokim uśmiechem. – Ponoć czekała na ciebie wczoraj do późna, tydzień cię nie było, już zaczynała się martwić.

– Jaką twoją kuzynką, co ty mówisz?

– Nie pamiętasz?

– Nie, naprawdę nic, mów jak do dziecka, mów jakby mnie tam nie było.

– Tydzień temu byłam na imprezie z Marcinem, rozmawialiśmy o Alicji, mojej kuzynce. Strasznie ci się podobała...

– Tak to wiem, pamiętam ją.

– Widzisz? No i ona chciała zdawać na Akademię do Katowic, i nie miała gdzie się zatrzymać, więc zaprosiłeś ją do siebie, powiedziałeś, że może zostać ile chce.

– Powiedziałem?

– Przemek, nie wygłupiaj się...

– I co dalej?

– Nie mogliśmy cię znaleźć, więc wzięliśmy zapasowe klucze od Marcina i Alicja się wprowadziła. I tyle. Więc pytam, jak ci się z nią mieszka?

Przemek zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Bał się poruszyć, bał się, że rozpadnie się na kawałki, że jakaś zupełna fala absurdu zmyje go, zostawi tylko to mieszkanie z przesuwanymi ścianami, tę zbieraninę faktów, z których nie da się już ułożyć życia. Ruszył jak pijany przez pokój, chwycił za ramię jednego z gości i obrócił go w swoim kierunku, znów przerywając rozmowę. Grubasek spojrzał na niego wzrokiem, w którym czaiła się niechęć.

– Co tu jest grane? Przed chwilą dowiedziałem się, że mieszka ze mną Alicja, kuzynka Uli, że wróciła ciocia Marlena, i że jestem transwestytą. Może ty mi powiesz, jak to możliwe, jak to kurwa możliwe?

– Ja jestem Alicja – powiedziała z uroczym uśmiechem dziewczyna, która rozmawiała przed chwilą z grubaskiem.

Przemek poczuł jak powietrze wokół jego głowy gęstnieje, coraz trudniej mu było oddychać. Oparł się o ścianę i poczuł, że się osuwa, że ściana ustępuje przed jego plecami, przed oczami przeleciały mu grube ceglane mury, betonowe wylewki, niemieckie napisy na murach i kratkach ściekowych, rury kanalizacyjne, sztolnie i szamba, chodniki, kostka brukowa polska ułożona w łuki i niemiecka ułożona w proste linie, kradzione tory kolejowe, ministranci i górnicy, brzydkie słowa po czesku i niemiecku i wszystko układało się w całość tak absurdalną, że nie mógł opanować śmiechu, który wyrwał mu się z gardła, śmiechu, który

był jedynym spoiwem, który mógł pozwolić przeciwieństwom obracać się w jednej maszynerii zwanej rzeczywistością, trzymał szeroko rozstawione ręce i rozczapierzone palce, żeby choć trochę spowolnić to obłędne spadanie w głąb kominów, w głąb hal fabrycznych, w otwarte paszcze śmieciarek, pomiędzy krzywo zaparkowane samochody, po zboczach płonących hałd, przez fabryczne dymy, śmiech powodował, że jego brzuch wyprężał się w nienaturalnych podskokach, falował, nie dawał się ugłaskać, razem z nim podskakiwały elektrociepłownie i huty, koła zębate i łożyska, tłoki w produkowanych seryjnie samochodach, sprężyny w resorach, trakcja, która żywiła pędzące w nieznane strony wagony kolejki, Przemek czuł jak niebo połączyło się nagle z tym zmęczonym pejzażem, brudną ziemią, zanieczyszczoną wszelkim syfem, jaki tylko zdołał wytworzyć człowiek, który przenikał skład tego powietrza i tutaj, i wszędzie, i tego, które nerwowo zaciskał w dłoniach i tego, które unosiło się nad chorzowskim parkiem rozrywki, nad zoo, nad Goczałkowicami, które parowało ze złożonej pod betonowymi płytami Bytomki i znad Kanału Gliwickiego, to powietrze wprawiał w rytmiczne falowania śmiech, który wydobywał się z jego gardła, żeby rozszerzyć się w każdy element panującej naokoło czerni i ten śmiech obudził go zupełnie niespodziewanie jak dotyk niepokoju. Przemek leżał na ławce, skulony z zimna i podrygiwał, śmiejąc się, choć sam nie rozumiał dlaczego. Po chwili wstał. Ciaśniej otulił się kurtką i spojrzał na balkon swojego mieszkania, z którego dobiegał odgłos nieustającego bełkotu miasta.

Książkę wydrukowano na papierze
Ecco Book Cream 1.9 70 g/m²
dostarczonym przez MAP Polska sp. z o.o.
www.mappolska.pl

nasze książki można kupić
www.radwan.pl

Wydawnictwo RADWAN
Exlibris sp. z o.o.
ul. Morska 2a, 82-340 Tolkmicko
e-mail: wydawnictwo@radwan.pl

Tolkmicko 2010
Wydanie I

Skład: ErGraf
Składu dokonano w programie komputerowym Adobe InDesign
Druk: Exlibris sp. z o.o.
Oprawę wykonano urządzeniami dostarczonymi przez firmę
CNCtechnika z Lublina.

ISBN 978-83-89938-40-4

ISBN 978-83-89938-40-4

cena detaliczna 19,90 zł

A co to?

Porządny kawał literatury, w gęstym sosie absurdu, podany ze szczyptą humoru, stanowi smakowite danie i zadowoli nawet wykwintnych smakoszy literatury.

A o kim to?

Życie bohaterów zamieszkujących wszystkie trzy utwory, zawarte w tym tomiku, rozpięte jest pomiędzy fascynacją światem, a nudą. Trzy zupełnie inaczej wykreowane rzeczywistości dały mieszkanie postaciom skrajnie różnym: Anton Pietrowicz, jak krewnych traktujący postaci rodem z rosyjskiej literatury, szuka w swojej codzienności dramatu godnego Dostojewskiego, lecz nie widzi, jak bardzo to pragnienie oddziela go od życia; natomiast troje bohaterów „Ostatniego rejsu" próbuje odnaleźć przyczyny szaleństwa, bo właśnie obłęd i jego konsekwencje są jedyną szansą, że coś w ich życiu naprawdę się zmieni; Przemek i Zuber, bohaterowie tytułowego opowiadania „To nie jest świat dla dżentelmenów" podróżują po Śląsku w poszukiwaniu pamięci, którą razem z całym inwentarzem przeżytego czasu zgubił podczas alkoholowej libacji jeden z nich.

Tym co łączy bohaterów wszystkich opowiadań jest dojmujące poczucie utraty, braku tego jednego elementu, który pozwoliłby im w pełni przeżyć własny los, rozbić grubą szybę, która dotychczas oddzielała ich od życia.